N. 16. WARSZAWA d. 8 (20) Kwietnia 1872 ROKU.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

MIESZKANIA NAWODNE

PRZEDHISTORYCZNE

przez

Dra Karola Libelta.

(Dalszy ciąg).

d) Nawodziska Czeszewskie.

Wieś rycerska Czeszewo w powiecie Wągrowieckim, na pół drogi od Wągrówca do Kcyni, jest jedną z najstarszych osad téj okolicy; była zawsze wsią kościelną, a akta w Kcyńskim grodzie, przechowały układy o granice i jezioro, aż pod koniec XIV wieku. Kościół zapewne kilkakroć spalony, nie zawiera żadnych dokumentów, z którychby o założeniu i dziejach Czeszewa wnosić można. Z dwoma folwarkami Gręzinami i Kujawkami, stanowiło niegdyś jedno *folium* hypoteczne. Leży w Nizinie po nad obszernem jeziorem, opasane rozległemi torfistemi, po części mokremi łąkami. Z tamtéj strony jeziora otaczają niziny Czeszewskie wzgórza Wiśniewa, Smuszewa, Podolina i Wapna; od przeciwnéj strony ciągną się wzgórza Łukowa, Morakowa, Czerlina, Panigrodza i Stołężyna. Okolica na kilka mil drogi wszerz i wzdłuż w łąki nader obfita, przerzewaną została *Pałuki*, a mieszkańcy zwią się *Pałuczanie*.

Było tu jeszcze na początku XII wieku, niepewne pogranicze pomiędzy Pomorzem a Polską, a Pomorze dopiero Bolesław Krzywousty podbijał i nawracał, wziąwszy szturmem miasto ich Nakło, cztery mile ztąd odległe. Zaś nazwy wsi Słupowy, Słupy, może przypominają słupy, które dawniéj Bolesław Chrobry na granicach zdobytego państwa swojego wbijać kazał. Wszystko to dowodzi, że kultura tych stron nie bardzo odległych sięga czasów. Na pograniczu pogańskiego Pomorza, gdzie pogaństwo utrzymało się jeszcze w XII wieku, obszerne bory, moczary, trzęsawiska pokrywały okolice. Gdzieś niegdzieś pojawiała się osada wiejska. A jeżeli po innych powiatach Polski znajdujemy ślady, że lasy porosły po niegdyś uprawnych gruntach, w tych stronach śladu takiego nie znajdziesz. I owszem cała zewnętrzna pagórkowata, dołami i dołkami poprzecinana formacja gruntów pokazuje dowodnie, że uprawa rolnicza zaledwie kilka wieków liczy, a popozostawały wszędzie ślady niedawnych jeszcze siedlisk pogańskich. Jest to okolica *żali*. Są to małe pagórki, na których naniesione cztery wielkie kamienie, obrzucone kilkunastu mniejszemi. Rozkopawszy taki pagórek, znajdujemy popielnice, surowe garnki z popiołem ze spalonych kości. Zdaje się że to były grobowce naczelników gmin albo też kapłanów. Znaczną ilość tych żali już rozwieziono. Ale zawsze ich jeszcze po kilka się znajduje. We wsi *Dobieszewko*, półtory mili od Czeszewa, na piaskowych wzgórzach, całe cmentarzysko się zachowało. Na szczycie wzgórza kamieniami naznaczone koło, od którego rozchodziły się promieniami szerokie chodniki także kamieniami naznaczone, a u spodu wzgórza niezliczona ilość popielnic z nakrywami i bez nakryw, małych i wielkich, rozmaitéj formy, do tego różne wyroby z niewypalonéj gliny, zabawki dla dzieci i t. p. Ale żadnego śladu robót kruszczowych, z wyjątkiem szpilek i iglic nader prostéj roboty. Dopóki wieś ta była w posiadaniu posła Kazimierza Kantaka, wielka ilość tych wykopalisk, najwięcéj jego ręką odsłoniona z piasku, dostała się do różnych muzeów i do zbiorów osób prywatnych.

Wszakże i wszędzie indziéj po polach, kopiąc trafiamy na popielnice nader małego kunsztu, bez znamion żadnéj kultury. Na polach Czeszewskich odnaleziono granice zwane *opola*, o których pierwszy pisał profesor Wrocławski.

Były to granice gmin stowarzyszonych do jednego okręgu, mającego wspólne obchody religijne i społeczne. Granice te ciągnęły się po wyniesionych i nasypywanych miejscach, a tworzyły je dwa rzędy kamieni prostopadle w głąb ziemi nastosowanych. Rzędy szły w odległości pięciu kroków od siebie. Szczytów kamieni widać nie było, ale wielekroć pług o nie zawadzał. Opole ciągnęło się przez pola i lasy i otaczało zwykle górę, będącą zapewne punktem zebrania mieszkańców całego opola. W Czeszewie jest taką górą *Babionka*, tuż za Kujawkami, do któréj lud wiejski przywiązuje różne podania o duchach, widziadłach i t. p.

O pół mili od Czeszewa leży *Wapno*, głośne z obfitych kopalni gipsowych. A że nigdzie kamieni wapiennych nie znajdziesz, widać że nieumiejętny założyciel téj włości, biorąc gips za wapno, nazwał ją Wapnem. Wyjątkowe to tylko w téj okolicy kopalnie. Widać że obszerna skała gipsowa, w tém miejscu właśnie aż do powierzchni ziemi wypartą została. Za to wszystkie okoliczne włości obfitują w znaczne pokłady torfu i we wapno muszlowe będące wybornym materjałem do mierzwienia, tynkowania i bielenia. Całe jezioro Czeszewskie na pokładzie takiego wapna spoczywa, które się ciągnie daleko w ląd po pod pokładami torfu. Wapno to urobione z rozpuszczonych muszli i skorup ślimaczych, sięga kilkanaście stóp głębokości, a po łąkach i przyległych rolach mnóstwo się jeszcze wyoruje skorup ślimaczych, co znowu dowodzi, że uprawa rolna tych stron nie sięga dalekich czasów.

Ten krótki topograficzny obraz Czeszewa, zdawał nam się być potrzebnym, aby czytelnikowi wykazać możność, że rzeczywiście w tych stronach nawodziska znajdować się mogły. albowiem czasy, w których tu jeszcze pogański i mało uzdolniony lud przemieszkiwał, nie są tak odległe.

Jezioro Czeszewskie miało przed trzydziestu laty 450 mórg magdeburskich rozległości. Dziś opusz-

czone przez rowy liczy sto mórg mniéj i poziom jego opadł na dwie stopy. Wszakże jeden rzut oka pokazuje, iż cała nizina między Wiśniewem, Smuszewem i Podolinem z jednéj, a Morakowem, Czerlinem i Stołężynem z drugiéj strony, zalaną niegdyś musiała być wodą, która upływ swój znalazła w rzeczce Wełnie, wpadającéj pod Obornikami do Warty.

Do tych przedhistorycznych epok, tak rozległego w tych stronach wód zalewu, po których tylko pozostały torfy i pokłady muszlowego wapna—nie sięgają nawodziska Czeszewskie. Są one wiele późniejsze, acz też przedhistoryczne i jak zaraz okażemy ograniczają się na szczupły obrąb dzisiejszego jeziora.

Jezioro to ma kształt podłużny na długość 545 prętów, jednym końcem sięga granicy między Wiśniewem i Czeszewem, drugim, północno-wschodnim, stanowi granicę między Czeszewem, Kujawkami i Smuszewem. I w tymto końcu pozostały ślady nawodzisk. Nikt ich nie dociekł, bo je woda zakrywała, tylko rybacy skarżyli się, na zawody, które im w tych stronach sieci rozrywały. Dopiero gdy pierwszy rów bito po obu stronach jeziora i woda z jeziora nieco opadła, zaczęły się z wody wychylać pale dębowe, wyraźnie w grunt jeziora gęsto powbijane, i ludzie gdy temu nikt nie przeszkadzał, wyciągali je na brzeg, suszyli i na opał obracali. Mnóstwo tych pali w ten sposób naginęło, aż znowu rowy pozachodziły, poziom jeziora się podniósł i wydobywanie palów ustało. Gdy jednak zalewy jeziora były znaczne i nie tylko łąki, ale nawet role aż do połowy czerwca stały pod wodą, zawiązało się od trzech lat towarzystwo osób interesowanych i odkopało wedle niwelizacji rów na dwie mile długi od Żurawi aż do Laskownicy po obu stronach jeziora ciągnący się. Czém się stało, że jezioro na dwie stopy opadło i w miejscu powyżéj wskazanym odsłoniły się nie tylko pale, ale i pokłady czyli pomosty, które na nich niegdyś leżały, a z czasem zwaliły się. Tak silnie były pnie, z których się te podłogi na 5 do 6 stóp szerokie składały, ze sobą za pomocą pali spojone, że się po tylu wiekach jeszcze kupy trzymały, i z trudnością dawały się rozerwać. Nie było widać ani gwoździa, ani żadnego wiązarku. Wszakże i te pamiątki odległych czasów nie dały się uratować od kradzieży, poszły na opał, ile że wsie Kujawki i Smuszewo o wiele bliżéj leżą tego miejsca, niżeli znacznie od jeziora oddalone Czeszewo.

Pale są z surowych odłamów dębowych od 4—6 cali szerokie, wbijane w grunt na 3 do 5 stóp, wystające nad gruntem od 1 do 6 stóp, wedle tego, im głębsze stają się brzegi, tak, że widocznie poziom wody stanowił powierzchnię, do któréj sięgały pale. Są rzędami wbijane o 4 stopy od siebie. Oczernione, zewnątrz omiękłe od wody, mają jeszcze rdzeń twardy i silny; wierzchołki ich jakby od bałwanów omelone i strącone. Obszar tych palów, które fala idąca zwykle od Wiśniewa ku Kujawkom pochyliła, niewielki; zda mi się, że nie przenosi morgi magdeburgskiéj. Pomosty zbite z pni różnego drzewa, są na sześć łokci długie, na 2 do 2½ łokcia szerokie, leżą w rozmaitych kierunkach pomiędzy palami, na samym gruncie, tu owdzie zagrzęzłe w szlamie lub piasku. Większa część tych podłóg, czy pomostów, mianowicie ta, która na głębiach leżała, zapewne spłynęła, dobiła do brzegów i poszła na opał. Tylko na mieliznach, bliżéj lądu, wichry i burze powpychały je między pale, i zachowały je na gruncie, jako starodawne zabytki mieszkań nawodnych.

Nikt się też ich tu nie domyślał. Ja sam zwiedzając pierwszy raz te nadbrzeża podczas spadku wody, tak, że wierzchołki palów nieco z jeziora wystawały, byłem przekonany, że to są zasieki z czasów wojennych, mające bronić przeprawy kawalerji przez miałkie brzegi jeziora, zwłaszcza, że po południowéj jego stronie, na gruncie Smuszewskim, wzgórza dość znaczne nadbrzeżne usypane są w okopy, które dotąd lud szańcami Szwedzkiemi nazywa. Dotykające w tę stronę pale wydawały się w połączeniu z szańcami stanowić jeden system obrony. Odsłonione późniéj pomosty zmieniły naturalnie ten rodzaj zapatrywania się z wojennego stanowiska.

(d. n).

To i owo.

Uniżony wasz sługa, szanowni czytelnicy.

Nie mam przyjemności być wam znanym, ale też tem mniéj mam przyjemność znanym być samemu sobie. Wszak wiecie, że to rzecz nie tak łatwa. Toż nawet jeden z siedmiu mędrców staréj Grecji... Ale dajmy pokój mądrości, — chwilowo czuję do niéj wstręt jak po niestrawnym obiedzie.

Bo wyobraźcie sobie w jakiem jestem położeniu. Nie daléj jak może przed godziną, ukończyłem *całą* moją edukację. Z kolei tedy nad tem myślę: jakiby tu sobie zawód obrać, żeby nie doznać zawodu? Co to ja takiego na świecie robić potrafię? na co się też ja przydam komu? Tego nie umiem wcale—owego nie wiele—tamtego znowu oduczać by mi się potrzeba, lub uczyć na nawo... Na nowo? za nic pod słońcem. Dam ja już sobie i tak radę.

W razach podobnych traf ślepy niechaj kulejące prowadzi natchnienie.

— A nuż oboje w dół wpadną? Ha! kapucynem być powołania nie mam, starostą być nie mogę—ależ jest jeszcze tyle innych pośrednich dróg dorobku,—dopprawdy zdajmy tę rzecz na losy. Z wyniosłości poddasza mego w mrowisko życia ulicznego wzrok zagrążę,—tam przecież tyle się roi objawów ludzkiéj działalności—byle się tylko do zbytku nie wahać w wyborze.

Cóż tam tedy na początek? Dorożka pędzi aż okna brzęczą! Ha, ha! po kawalersku—dajże go katu. Rozgłos robi po świecie — przepadam się za rozgłosem. Młodzieniec siedzi w téj dorożce. A jak dzielnie siedzi! Co to jednak—jak to siedzenie siedzeniu nierówne! Z papierosem w zębach, rękami w kieszeniach, z nogami na kołnierzu dorożkarza.

— Ot właśnie takim chciałbym być.

— Jak kto?

— Jak ten młodzieniec.

— A jakiż to on jest?

— No—jużci—z szykiem....

— Ba! Z tym szykiem swoim wysiądzie on gdziebądź na rogu ulicy.

A dorożkarz daléj pojedzie. Prawda. To już może lepiéj dorożkarzem być. Z wysokości na świat spogląda—na ludziach się zna. Kiedy spostrzeże że komu nie więcéj jak czterdziestówka z oczu patrzy, zaraz cichaczem chorągiewkę spuszcza—zajęty! Niechno rubla przewącha: A co jaśnie panie jedziemy? I jedzie jako żywo—toż to rozkosz nie życie!

Ale na to: dorożkę trzeba mieć, konie także. Dorożkę naprawiać bez ustanku—bo to w téj *Warsiawie* bruk djable chropawy—konie żywić, i tych bestyi ćwiczyć nawet jeszcze nie módz porządnie. Do tego te szyneczki wesołe na każdym rogu! A teraz —mróz, deszcz, spiekota. I wreszcie— ani święta, ani nocy. E, nie—zawód to nie dla mnie. A szkoda—z rozgłosem się tam żyje....

No, ale ot ten posłaniec na rogu. Za rozgłosem się jak dorożkarz nie upędza, a jednak czerwonościami każdego w oczy bije—z końca ulicy go widać—ba! nawet choćby w tłumie największym. Wyróżnia się ten człowiek—w to mi graj! A na to wykształcenia nawet nie potrzebuje. Ba! widziałem takiego co i czytać nie umiał. I stanowisko ma. Wprawdzie na rozstajnéj drodze—ale przecież tak samo kiedyś i Herkules....

Tylko znowu, powiadają, że źle to jest dwom panom służyć—a cóż dopiero wszystkim i wielu jeszcze innym. Co? Figaro tu—Figaro tam—tak zrób a nie inaczéj—tego nie upuść—z tem się nie baw—zawsze ruszaj z kopyta.—Jakto? woli własnéj nie mieć, popychadłem być, machiną za którą kto inny myśli? Nie, to także nie dla mnie—ja samodzielności pragnę.

Właśnie ma jéj do syta ten oto kataryniarz, który już od półgodziny w egzercycjach śpiewu i muzyki po wszystkich piętrach domów dziwny zamęt czyni. Zewsząd odczepne mu z okien rzucają, byle sobie poszedł. Dopprawdy łepski to chleba kawałek—nawet posmarowany masłem—nawet z salcesonem na wierzchu—ba! i z półkwaterkiem u spodu. Do tego jeszcze człowiek na artystę zakrawa—przynajmniéj w swojem rozumieniu—ale to w ogóle mało uzasadniona zarozumiałość.

Przypomina mi to pewnego dziada ślepego, protoplastę wszystkich tych, którzy dziś stałe już miejsca w posiadanie zająwszy, kieszenie przechodniów, naprzemian to pieśnią pobożną, to wyjątkami z pięknéj Heleny do litości drażnią. Tamten jeszcze koczujące życie prowadził, niejako systematycznie po całem mieście wybierając podatek. Bywało tak: że jak zaczął jaką ulicę, to już najsumienniéj stawał przed każdą bramą domów po jednéj stronie, a następnie wracając od końca ulicy po drugiéj;—słowem że nikogo nigdy nie pokrzywdził. I grał; ale jak grał!—jak z nut, jak to powiadają. Dźwięki minorowe wyciągał wcale omdlewająco—w skocznych, łokciem podrygiwał—jeśli zaś nadchodziła piszczałka jaka asmatyczna, lub co gorsza całkiem spadła z etatu, szybkim ruchem korby umiał się wyrzec wszelkiego z nią wspólnictwa, i jechał daléj, tyleż drugich zachwycając ile i sam zachwycony. Niech go nie znam—mówiłem sobie w duchu. Dzielił ze mną to przekonanie stróż oparty na miotle i młodsza posłana pilno po serdelki. Tylko drzemiący na koźle dorożkarz głową czegoś kwaśno kręcił—ale mniejsza i o to,gdyby nie nadbiegający w patynkach szewczyk z butelką, który się znagła wyrwał dosyć roztrzepanie:—O wa! co to wielkiego. Jabym lepiéj potrafił!—Otóż czem jest u nas krytyka!...

Temu tedy dziadowi chciałem raz pomnę dać trzy grosze. Właśniem się miał ku kieszeni, kiedy w tem słyszę w powietrzu głos nad sobą. Nie, nie było to nic nadprzyrodzonego. Poprostu tylko mularz z pędzlem w ręku, umaczanym w cynamonowej farbie.

Cóż tedy mówił ten malarz—chcę mówić mularz?

— Niech pan temu staremu łobuzowi (tak go nazwał) nic nie dają.

— Dla czego?

— On ma kamienicę na Przyrynku.

— Na Przyrynku! No proszę. Co do mnie, wolałbym na Krakowskiem przedmieściu, z balkonem i markizami. Ależ nie odrazu i Kraków zbudowano.

Tak—tak—godłem tego utrapionego poborcy, było wyraźnie: pieniądze lub życie. Ileż razy lata zeszłego, zniechęcony gawotem, śpiewanym, nuconym, gwizdanym, granym na fortepianie, na skrzypcach, z dołu, z góry, z boku, z przeciwka, zapadałem w myśli głęboko filantropijne w przedmiocie poskromienia nadużyć — jakich się w społeczeństwie naszem mu

zyka dopuszcza! Właśnie już bywałem blizki wymyśleć coś mądrego—w tem żegnaj natchnienie szczęśliwe!—bo oto właściciel jednej kamienicy snadź drugą jeszcze mieć pragnie. O! nieposkromiony pozytywisto—chcę mówić wirtuozie pozytywny, a raczej poprostu na pozytywce grający, któż cię nauczył tej prawdy (podobno niezbitej), że w walce o istnienie, z najukochańszym bliźnim za łby wziąść się godzi? Ponieważ jak się rzekło, przed każdą bramą stawał to niechby tylko po kwadransie liczyć—miało się go w pobliżu najmniej dwie godziny—to jest: aż nadto do zbytku.

Nie—nie—lepiej już prześladowanym być jak prześladowcą. Precz mi z katarynką!

Ot i ten co gra w tej chwili, czy to on myśli skończyć kiedykolwiek? Już aż w skroniach łupie!

Gniewny, zatrzaskuję okno, i przechodzę na stronę podwórza. O rozkoszy—jakiż tu spokój błogi! Rzekłbyś: Arkadyjski zaścianek od strony kurnika. Naprzeciwko, niewinnie całkiem, pensjonareczka jakaś w matczynem lusterku brwi sobie czerni—niżej nieco, studencik mocno zaperzony pilno coś pisze. Może wiersze? e! wiersze dziś nie na czasie—prędzej krytykę. U studni kucharka sałatę płucze—w skrzyni ze śmieciami gałganiarka grzebie.

A! toć i to zawód jak drugi. Gałgany te słyszę za granicę jadą, zkąd wracają przynajmniej przerobione—i to jak przerobione! Mądre rzeczy się na nich drukują, nawet bardzo ważne—nawet bardzo pożyteczne, czy tam zyskowne: akcje, premiowe pożyczki, banknoty. Ale także i listy gończe i pozwy, i liche wytwory uwielbianych w szczupłem gronie pismaków, i lichsze jeszcze pomysły przerabiania świata stosownie do lekcji zadanéj na jutro. Papier jest dziwnie cierpliwy.

Ale cóż ostatecznie owa śmieciarka?—Z gałganami wiecznie jak ona do czynienia mieć?—No—na to przecie żeby z gałganów świat oczyszczać.—Ale to podobno rzecz nigdy nie przebrana....

Gwałtu! cóż to ja za grzmot słyszę od strony ulicy? Dom podskakuje, drżą szyby—cóż to takiego? To nic, to poprostu węglarz wraca z próżnym wozem.

A! ten to już przyznać trzeba, wszystkich przesadził rozgłosem. O katarynce już ani gadać, bo nawet u dorożek widzisz tylko że się koła kręcą i natem koniec. Dzielny człowiek! I jako żywo zna się na swojej wartości. Co za wzięcie się—co za postawa! Drugi dawnoby już wyleciał jak z procy—jemu zęby tylko ognia dają, a jednak zwycięzko stoi w swej skrzyni, podobien zapaśnikowi z igrzysk Olimpijskich—co mówię—tryumfatorowi Rzymskiemu—co mówię—samemu Jowiszowi, grzmiącemu aż osie świata trzeszczą.

Co prawda, trochę zanadto posmolony. Ale umywa się on raz na tydzień—w niedzielę. To znaczy pięćdziesiąt dwa razy do roku—rok zaś jak wiadomo liczy sobie dni trzysta sześćdziesiąt pięć, a jak obecny, to nawet dniem więcej. Tedy jak widzimy, zdarza się to rzadziej niżby sobie życzyć można. I trzeba jeszcze: że czystym będąc, rozgłosu już ten człowiek nie robi. Do licha—czyż to rozgłosu po świecie szukając, koniecznie mniej albo więcej posmolonym być trzeba?

Nie taję, że uwaga ta mocno mi humor popsuła. Siadłem chmurny i dumam. Jakiż tu wreszcie zawód wybrać do djabła? Wzrok mi przypadkiem na kałamarzu spoczął.

A gdyby literatem zostać? Prawda—nic łatwiejszego. Pióro tylko umoczyć i po papierze na chybił trafił wodzić—ot i wszystko. Niedawno jeszcze znajdowano że mam niepośledni charakter—to jest właściwie że ładnie piszę, czyli raczej prawdę mówiąc nie źle przepisuję. Ba—alboż to jeden urosł a nawet utył z tego, że przepisuje tylko to co drudzy napisali? byle za to płacono, to już i o podpis mniejsza.

Tylko znowu rozgłosu mi szkoda. E—co tam! jak tylko długo nikt o mnie wiedzieć nie będzie, nawymyślam pierwszemu lepszemu z więcéj odemnie znanych, raz, drugi, trzeci, dziesiąty—aż do skutku, i jakoś to będzie. O szanowni czytelnicy! nie wymagajcie także żebym i was kochał więcéj niż siebie. Toż przecie bliższa ciała koszula niż kaftan. Dla tego nie ręczę, czy w dalszym ciągu i wam się nieraz nie oberwie—za co już z góry o pobłażanie proszę.

Ale oto dość już odwagi mojéj na dzień dzisiejszy Bóg was odżegnaj odemnie mili państwo. Choć znowu nie na zawsze—Boże uchowaj—tak źle o mnie nie myślcie. Tyle z sobą do pomówienia mamy to głośno, to na ucho, żeśmy sobie nawzajem nadzwyczaj potrzebni.

No więc do zobaczenia—do zobaczenia miejcie się zdrowo.

Jaś.

Korespondencja z Wiednia.

(Dokończenie.)

Zacni ci przodkowie nasi według prelekcji Büchnera panie daj im niebo, żyli sobie jak u pana Boga za piecem w krajach tropikowych, na istniejącym już dzisiaj stałym lądzie, którego szczątkami są wyspy archipelagu indyjskiego. Innego jest zdania Maurycy Wagner, twierdzi bowiem że kraje tropikowe nie sprzyjałyby z powodu swego klimatu, rozwojowi fizycznemu i intelektualnemu człowieka i mniema, że pierwsi ludzie mieszkali w krajach zimniejszych, w szczególności zaś w takich; w których różnica pomiędzy czterema porami roku jest wyraźna. Prelegent kończąc swój wykład zwrócił się jeszcze do słuchaczów ze słowami pociechy, aby zbytnio nie brali sobie do serca swego pochodzenia. Tem większy zaszczyt dla nas, powiedział że z tak nędznych początków zdołaliśmy wznieść się tak wysoko. Grzmot oklasków zagłuszył jego mowę.

Ostatni to był wykład Büchnera do którego i kobiety były przypuszczone, trzeci bowiem przeznaczony był wyłącznie dla mężczyzn, którzy też zgromadzili się w niezmiernéj liczbie. Wykład ten nie był wcale ciekawszym, ani więcéj zajmującym od dwóch poprzednich. Wiała z niego sama zimna, dla niespecjalistów trudna do zrozumienia nauka, tem bardziéj zawikłana, ponieważ oparta na samych hipotezach.

W teatrach tutejszych od dłuższego już czasu nie pojawiło się nic ważniejszego. W operze nadwornéj obchodzono w tym miesiącu pięćdziesięcioletnią rocznicę pierwszego przedstawienia Wolnego strzelca, Karola Marji Webera. Nie można było uczcić lepiéj takiéj rocznicy jak poprawnem przedstawieniem właśnie téj opery, któréj rocznicę uczcić chciano. Tak też uczyniono. Po pierwszem przed 50 laty przedstawieniu, Weber zapisał w swoim dzienniku: Dyrygowałem Freischützą; entuzjazm był nad wszelki opis; drżę o przyszłość téj opery, bo przedstawienie jéj nigdy świetniéj wypaść nie może. W ciągu tych lat 50 zapewne niejednokrotnie na rozmaitych scenach okropnie pokaleczono Wolnego strzelca, ale co się tyczy teraźniejszego przedstawienia téj opery w Wiedniu, mniemamy że Weber, gdyby go był doczekał, byłby z niego nie mniéj zadowolony jak z pierwszego.

W teatrze w Wiedniu dawano nową operetkę komiczną Offenbacha „Fantasio.“ Jest ona mniéj komiczną jak wiele innych operetek tego kompozytora, atoli, i właśnie dla tego, mogłaby się może lepiéj podobać niż wiele innych, gdyby nie to, że straszliwie przypomina najoklepańsze jego utwory. Offenbach wysnuł już z siebie wszystko co się wysnuć dało i teraz kradnie, wprawdzie tylko siebie, ale bądź co bądź kradnie.

Stowarzyszenie kobiece pracujące nad oświatą ludu i poprawieniem losu kobiet (Verein für Volkserziehung und Verbesserung des Frauenloses) postanowiło rozszerzyć znacznie zakres swego działania. Mianowicie na miesiące zimowe zamierza urządzić wykłady popularne, w kilku dzielnicach miasta jednocześnie odbywać się mające. Dalej postanawia urządzić ogródek Fröblowski, znacznie podług systemu Korna ulepszony.

W ogródku mają się odbywać wykłady dla rodziców o fizycznem i moralnem wychowaniu dzieci. Nadto staraniem tego towarzystwa powstać ma drugi ogródek dla starszych dzieci, uczęszczających już do szkoły to jest liczących 8 do 12 lat. Ogródek ten ma być urządzony według tych samych zasad co zwykły fröblowski, ale z stosownemi do wieku dzieci rozszerzeniami.

Dzieci mają w nim zostawać tylko od 5 do 7 godziny wieczór. Wyszedłszy ze szkoły o godzinie 4éj mają udawać się najprzód do domu na podwieczorek, a dopiero po zjedzeniu tegoż do ogródka, gdzie najprzód wyrabiać będą pod dozorem, wypracowania szkolne na dzień następny zadane, a po skończeniu tychże zabiorą się do rozmaitych rozrywek tego samego rodzaju, jakie nastręcza dziatwie zwykły ogródek freblowski. Oprócz tego wszystkiego, stowarzyszenie zamierza jeszcze urządzić szkołę specjalną dla gospodyń i służących, w któréjby córki obywateli miejskich i uboższéj szlachty na gospodynie domu, a córki robotników na dobre służące kształcić się mogły. Dla wychowanek kończących nauki, zakład sam ma się starać o miejsca stosowne, gdyby tego potrzebowały. Staraniem tego samego stowarzyszenia ma powstać w Wiedniu muzeum kobiece, jakiego podobno nie ma w całéj Europie. Do składu tego muzeum wchodzić mają książki w jakimkolwiek względzie z stosunkami kobiecemi w związku zostające: płody przemysłu kobiecego lub wyłącznie płci niewieściéj służące, narzędzia i sprzęty gospodarskie w ogólności, a kuchenne w szczególności, zwłaszcza nowo wynalezione i t. p. Przy téj sposobności nie od rzeczy będzie wspomnieć, że w szkole sztuk pięknych z muzeum sztuk i rzemiosł połączonéj, około 40 panien kształci się w rysunku, malarstwie, modelowaniu i t. p. Niedawno oglądaliśmy wystawę robót uczniów i uczennic tego zakładu i mieliśmy sposobność przekonać się naocznie, że pochwały oddawane powszechnie pilności i wytrwałości uczennic nie były wcale komplementami. Pomiędzy uczennicami odznaczają się znakomicie dwie Polki pp. Vogelgesang i Zajączkowska, obiedwie z Galicji.

Oddając pochwały uczącym się w Wiedniu galicjankom, nie podobna pominąć milczeniem młodzieży galicyjskiéj męzkiéj, któréj rok rocznie jest tu na uniwersytecie, w akademji technicznéj i w szkołach handlowych około pół tysiąca.

Istnieje tutaj pomiędzy młodzieżą galicyjską stowarzyszenie „Ognisko“ którego celem jest ułatwianie młodzieży téj saméj narodowości wspólnego uczenia się, wzajemnego pomagania sobie i popierania swoich interesów. Otóż stowarzyszenie to urządziło wieczorek muzykalny deklamatorski i zaprosiło na niego wszystkie rodziny galicyjskie w Wiedniu zamieszkałe, bez względu na stanowisko społeczne. Obok też byłych ministrów, członków parlamentu, obok dam z mitrami i koronami o dziewięciu i siedmiu pałkach, zasiedli na tych samych ławach rzemieślnicy z żonami i rodziną. Jak się to czasy zmieniły! Oby tylko ta zmiana przestała być osobliwością i oby nie tylko w obcem mieście zagranicą postrzegać się dawała. Program wieczorku był bardzo urozmaicony. Produkcja zaczęła się od odczytu z którym wystąpił jeden z akademików, potem nastąpiła deklamacja, a wreszcie kilku młodych artystów popisywało się w grze na fortepianie i fisharmonice.

W końcu siostra Artura Grottgera, pani Sawiczewska kształcąca się tu na artystkę, odśpiewała parę ładnych pieśni. Śpiewała pięknie, szkoda tylko że językiem nie dla wszystkich zrozumiałym, bo po włosku.

Przy téj sposobności dowiedzieliśmy się ze sprawozdania, że do Ogniska należy zaledwie mała część téj młodzieży, któraby do niego należeć powinna. Przyczyną tego nie jest atoli żadna niechęć ani niezgoda, lecz tylko ta okoliczność, że z powodu nadzwyczajnéj drożyzny pomieszkań w Wiedniu, ucząca się młodzież mieszka po większéj części po odległych przedmieściach, w skutek czego trudno jéj jest chociaż by tylko raz w tydzień, zgromadzać się na wspólne posiedzenia. Istotnie z mieszkaniami coraz trudniéj w Wiedniu. Czynsze idą coraz bardziéj w górę, a często i za drogie pieniądze mieszkania dostać nie można. Pojawiają się też liczne broszury, których treścią jest obmyślenie sposobów zapobieżenia złemu. Z pomiędzy wielu projektów tyczących się tego przedmiotu, najskuteczniejszym zdaje się być projekt Dra Emila Saxa, który radzi założyć sieć kolei żelaznych, łączących miasto z przedmieściami we wszystkich kierunkach jak to jest w Londynie. Obecnie posiada Wiedeń kilka linji kolei żelaznych konnych, atoli te nie są jeszcze dostateczne. Brak pomieszkań dochodzi do tego stopnia, że uboższe rodziny a nawet studenci, zmuszeni są bardzo często przepędzać kilka nocy w Domu Przytułku, dopóki sobie nie wynajdą jakiego pomieszczenia.

Jest to instytut prywatny przez stowarzyszenie przyjaciół ludzkości założony i utrzymywany, gospoda wiecznie otwarta dla wszystkich bez różnicy stanu, wieku, religii i płci. Kto tylko przyjdzie, bez żadnego pytania, a tem mniéj sprawdzania co go tu przygnało, przyjętym zostaje. Zakład podzielony jest na dwa oddziały dla kobiet i mężczyzn; obadwa urządzone są nakształt koszar wojskowych i utrzymywane z wzorową czystością. Żądający przytułku udaje się najprzód do łaźni, a jednocześnie odzież jego wystawiana bywa na działanie gorąca w piecach stosownie urządzonych, celem wytępienia owadów jeżeliby były. Po téj operacyi dostaje każdy skromną wieczerzę a nazajutrz śniadanie.

S. Nowiński.

OBRAZY

NA WYSTAWIE TOWARZYSTWA ZACHĘTY

SZTUK PIĘKNYCH W WARSZAWIE.

O żebrakach i oszustwie żebraczem bardzo wiele pisano, nie ma prawie pisma któreby o ten przedmiot nie zaczepiło, a jednak chwast ten społeczny trudny niezmiernie do wyniszczenia, przerzedzony chwilowo znowu się rozrasta. Pan Kotsis zdolny bardzo artysta, wziął za przedmiot do swojéj pracy, przedstawienie żebraków wracających z odpustu z Kalwarji, zgromadzonych dla odpoczynku przed karczemką przydrożną. Są to postacie tak wstrętne i wyraziste zarazem, że dość na nie raz spojrzeć aby na zawsze zatrzymać w pamięci.

Na pierwszym planie w wózku dwukolnym, siedzi dziad upatentowany bezwładnością nóg na żebraka, z całą pompą człowieka zadowolonego ze swego stanowiska i czującego, że mu się dobrze dzieje na świecie. Syty, nie pragnący, z twarzą zarumienioną trunkiem, trzyma butelkę w ręku jedyną rozrywkę w nudnie wlekącéj się podróży. W geście jego, w całym układzie ręki przyciskającéj butelkę, znać wyraźnie jak wysoko ceni tę pocieszycielkę życia, i samolubne zarazem postanowienie nie rozłączenia się z nią nawet na chwilę, nie uszczenia z niéj nawet kropelki dla obcego natręta, gdyby się ośmielił zażądać bliższéj z nią znajomości. Ciągnie go kilkunasto-letni bosy wyrostek, czerstwy, muskularny, terminator na żebraka w przyszłości, nie zwracający nawet uwagi na otaczające go zgromadzenie, z którém wybornie zdaje się już być oswojonym. Daléj cokolwiek w głębi, stoi kilku dziadów a jeden z pomiędzy nich rozczerwieniony wyciąga ręce w górę i zdaje się mówić do towarzysza:

— Człeku! co się tam działo, to ludziska tylko się mrowili! Z czołem przewiązanem szmatą brudną, silny, barczysty, przypominający grenadjera albo tambormażora, jest postacią najlepiéj pomyślaną i wykonaną. W wyrazie jego twarzy choć pozbawionéj wszelkiego przymusu i udanéj pokory, choć ożywionéj wesołością i radością z zebranego plonu, znać prostoduszność i pognębienie, owe fałszywe cechy, umiejące z wielką zręcznością wyzyskiwać litość miłosiernych. Kilku dziadów z węzełkami na plecach znajduje się w głębi, a bliżéj widza plezie się po ziemi wsparty na ręcznych podporkach kaleka z tak chytrym wyrazem twarzy, że mimowoli szatan do myśli przychodzi. Obok niego znajduje się kilka kobiet żebraczek, z których jedna zdaje mu się czynić jakieś wymówki.

Gdybyśmy w pracach malarskich szukali saméj prawdy nie podniesionéj sztuką do pewnego ideału, w obrazie pana Kotsisa nic nie mielibyśmy do zarzucenia. Ale przedstawianie jéj nagie nie jest wyłącznem zadaniem sztuki, która nie na darmo nazywa się piękną. Wprawdzie często sam przedmiot wzięty za treść do obrazu, utrudza zastosowanie się do tego niezbędnego warunku, ale w takim razie przeciwstawienie powinno ratować szorstkość kompozycji i pewne szczegóły z téj saméj prawdy wydobyte, a posiadające wszelkie warunki piękna. Żebractwo tak u nas jak w Galicji jest to rzeczywiście wrzód społeczny z całą ochydą jego potwornego kłamstwa, ale czyż wszyscy żebracy są oszustami? Czyż kalectwo ciągnionego wózkiem żebraka i plezącego się po ziemi, nie zasługuje na litość i współczucie? Pan Kotsis zapomniał o tem, i gdy dziada ze szmatą na czole zrobił zwyczajnym oszustem, kaleków przemienił w potwory kłamstwa. W tamtym widzi się figlarza i spekulanta, w tych uosobioną bezecność godną wzgardy i stryczka, a jednak pierwszy czerstwy i zdolny do pracy, gdy drugich żebractwo, kalectwo niejako usprawiedliwia.

Gdyby pan Kotsis na pierwszym planie pomieścił był niewidomego biedaka prowadzonego przez zgrzybiałą staruszkę, a dziadów oszustów cokolwiek w głąb posunął, cała kompozycja wieleby na tem zyskała. Tak jak jest, widz czuje tylko wzgardę, podziwia prawdę tak wiernie uchwyconą i odwraca oczy ze wstrętem, szukając na innych obrazach wytchnienia. O wykonaniu technicznem nic nie wspominamy, musi ono być dobre, skoro z każdéj postaci wprowadzonéj do obrazu, tak wiele wyczytać można.

(d. n).

Różne wiadomości.

Oświecenie publiczne. — Zgromadzenie ziemskie powiatu kaszyńskiego gubernji twerskiéj, w roku 1866 uchwaliło założyć w mieście Kaszynie, na pamiątkę ocalenia życia Najjaśniejszego Pana w d. 4 kwietnia, szkołę żeńską dla sposobienia dziewcząt włościańskich na nauczycielki ludowe. Szkoła ta urządzona przy klasztorze żeńskim kaszyńskim, otwartą została 18 września 1870 roku. Na ostatniéj sesji kolejnéj, zgromadzenie ziemskie kaszyńskie wyznaczyło na utrzymanie w téj szkole dwudziestu stypendystek 1,400 rub., poleciwszy urzędowi powiatowemu wyjednanie Najwyższego zezwolenia na mianowanie téj szkoły Aleksandrowską, i zarazem na ustanowienie rady szkolnéj z prawem obierania kuratora na lat 6.

Komitet piśmienności.—Na ostatniem posiedzeniu petersburgskiego komitetu pismienności, odczytane było sprawozdanie z zeszłorocznych czynności komitetu. Z zamieszczonego w dzienniku *Nowoje Wremia* wyciągu z tego sprawozdania pokazuje się: że przychody i wydatki na bezpłatne rozsyłanie książek ciągle się powiększają. Przychodu było 12,136 rub., a rozchodu 6,643 rub. Od moskiewskich ofiarodawców w roku 1871 odebrano 10,275 rub. Komitet otrzymał zawiadomienie, że p. Ragozin i inni dobrowolnie zobowiązali się wnosić corok po jeden procent swego dochodu do kasy komitetu, z zastrzeżeniem, aby wnoszone pieniądze odsyłane były do instytucji ziemskich na zakładanie szkół ludowych. Bezpłatne rozsyłanie książek przeniosło cyfrę poprzedniego roku prawie o półtora tysięcy tomów i doszło do 58,237 książek. Rozsyłano także książki na żądanie za opłatą; rozesłano tym sposobem 15,000 tomów. Co do rozsyłania książek za opłatą w sprawozdaniu nadmieniono: „Komitet pismienności, mający stały pobyt pośród księgarskiéj działalności, mógłby przy teraźniejszych uciążliwych sposobach przesyłania szczegółowego książek, być pośrednikiem z jednéj strony, między księgarzami i wydawcami, a z drugiéj, między prowincjonalnemi towarzystwami dobroczynnemi, trudniącemi się rozpowszechnieniem książek pomiędzy ludem. Pośredniczenie to zdawałoby się tym łatwiejszym dla pomienionych towarzystw, czyli raczéj dla interesów rozwoju piśmienności, że komitet, obok spółczucia znacznéj liczby autorów i wydawców książek ludowych, miewa bardzo często większy lub mniejszy rabat od nabywanych książek, który w danym wypadku całkowicie byłby odstępowany na rzecz towarzystwa, udającego się do pośrednictwa komitetu. Zasadę takiego pośrednictwa zaproponowało charkowskie towarzystwo pismienności". Stosunki komitetu ciągle wzrastają, a liczba urzędów i osób, mających z nim styczność, coraz się zwiększa. Bardzo liczne były stosunki jego z osobami i nauczycielami szkół wiejskich, którzy najwięcej potrzebują książek do swych szkół: urzęda ziemskie, rady szkolne i zarządy gminne także udawały się do komitetu o pomoc w rozpowszechnianiu pismienności. Pomoc komitetu przyjmowano wszędzie z najgłębszą wdzięcznością; bardzo często posługiwała ona do podtrzymania szkół, co zresztą bardzo jest naturalnem, komitet bowiem miał do czynienia po większej części z najbiedniejszemi szkołami. Biblioteka pedagogiczna wzbogacona w roku upłynionym 114 dziełami, w końcu tego roku składała się z 498 tomów. Ogłoszony w roku 1868 konkurs na ułożenie przewodnictwa dla nauczycieli wiejskich, wywołał dwa rękopisma, z których jednak żadne nie uznano za odpowiednie zadaniu i zasługujące na ustanowione premjum.

Biuro komitetu miało wciągu roku 9 posiedzeń, dla rozpoznania różnych bieżących kwestij, a 10 razy członkowie komitetu pismienności. zbierali się dla wysłuchania sprawozdań, roztrząsania bieżących interesów i wymiany myśli w różnych kwestjach, dotyczących upowszechnienia pismienności pomiędzy ludem.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami i dokończenie opisu rycin N. 16.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

ALBINA.

STUDJUM POWIEŚCIOWE,

Z NOTATEK AUTORA

UŁOŻYŁ

JAN ZACHARJASIEWICZ.

(Dalszy ciąg.)

Widać to było po każdym jéj ruchu, po każdem spojrzeniu zaprawionem ironią, po każdym uśmiechu który więcéj kłół niżeli rozśmieszał.

Kamilla podobną była teraz do jednéj z owych kobiet, które dzisiaj gdzieś tam za oceanem występują do walki o wydarte prawa, o równouprawnienie we wszystkich ciężarach i przywilejach społeczeństwa.

Tymczasem ponieważ ani pola ani pory do takiéj walki w téj chwili i na tem miejscu nie było, piękna amazonka bawiła się brzękiem swoich kajdan uroczych, rzucając z pod brwi najeżonych śmiertelne pociski na mniemanych uzurpatorów!

Jakim sposobem pomiędzy temi kobietami mogła istnieć tak zażyła przyjaźń? trudno odgadnąć.

Jedna z nich uosabiała wcielony bunt przeciw pozytywnym ustawom społeczeństwa, druga była najwierniejszą poddanką wszystkiego tego, co tylko człowieka krępować może!

Zdaje mi się, że Albina nie mogłaby żyć, aby nie miała owych drobnych, przymusowych foremek towarzyskich, które często gorzéj nas tyranizują niżeli najznakomitsi w dziejach tyrani!

Gdyby naprzykład Albina nie miała rano do myślenia w jakim kostiumie wypada teraz ranną wizytę zrobić, a jak się na wieczór lub do obiadu ubrać— okazałaby się w jéj życiu straszna próżnia, od któréj zawrotu głowy dostać możnaby było!

Może nawet przy jéj spokojném usposobieniu za mało było tych foremek światowych, możeby chciała jeszcze więcéj krępować się niemi, bo każde więzy już tem samem wzbudzają w nas życie i wyrywają nas z apatji, że cisną.

O Kamilli przeciwnie można by sądzić. Ją ugniatały widocznie te więzy, one nie były dla niéj wszystkiem. Po za temi więzami widziała może jakąś ponętną, jak step rozciągającą się przestrzeń, po któréj bujała jéj wyobraźnia płomienna!

Mimo tak znacznego kontrastu, obie kobiety były związane węzłem przyjaźni. W żadnem towarzystwie nie widziałem ich odosobnionych od siebie. Odwiedzały siebie wzajemnie prawie codzień, w teatrze najczęściéj w jednéj loży siadywały.

Ponieważ dzisiaj koniecznie coś niezwyczajnego w tych kobietach ujrzeć chciałem i z tem uprzedzeniem już na herbatę przyszedłem, zdawało mi się, że już w tem samem zestawieniu tak odległych od siebie kontrastów musi się jakaś tajemnica mieścić.

Obie przyjaciołki rozmawiały z sobą z wielkiem ożywieniem. Osobliwie Kamilla kładła jakieś nader ciekawe i pocieszne słówka swojéj sąsiadce do ucha, bo Albina uśmiechała się z rozkoszą.

Opodal siedział pan Karol i zajęty był rozmową z jakimś poważnym jegomością.

Trwało to czas niejaki.

Kiedy całe towarzystwo powszechną rozmową ożywiać się zaczęło, kiedy wreszcie w salonie powstał ten dziwny nieokreślony gwar, który dowodzi, że każdy gość jest już zatrudniony mową albo słuchaniem, wtedy w rozmowie osób, które moją uwagę zwracały nastąpiła pauza.

Kamilla obejrzała się kilka razy po za siebie, jakby otoczenie swoje badać chciała, a Albina bystrzejsze jak mi się zdawało, wejrzenie rzuciła na stojącego przy oknie mężczyznę bladéj pociągłéj twarzy, który w téj chwili patrzał na nią.

Zdaje się, że hrabia Adolf zrozumiał to spojrzenie, bo nieznacznie uśmiechnął się i zręcznie zbliżył się do Albiny.

Hrabia Adolf należał do rzędu tych ludzi, którzy z opinją stolicy nie byli w zgodzie.

Młody przystojny i dosyć zamożny używał tych wszystkich darów bożych w sposób nader lekkomyślny. Hasłem jego było: używać życia! Używał więc tego życia bez żadnéj krytyki, a używał często w sposób bardzo trywialny.

Trudno osądzić, co właściwie było powodem, że pan Adolf tak życie pojmował a nie inaczéj.

Zdaje się, że brak rzeczywistego wykształcenia odgrywał tu pierwszą rolę. Pan Adolf miał wiele ogłady towarzyskiéj, był nawet często dowcipny i umiał wybornie kółko swoich adherentów zabawić—ale po za tem nie widział poważniejszéj strony życia!

Ztąd też pochodziło, że popełniał w stolicy rzeczy, które opinją całego miasta przeciw niemu zwracały, a co on przyjmował z największym cynizmem i odwagą godną lepszéj sprawy.

Nie poczuwał się do żadnych obowiązków względem opinii, a nawet miał w tem pewną rozkosz walczenia z nią. Do swojéj maluczkiéj osóbki lubił czasem stosować słowa wielkiego męża stanu, który pochwalony raz przez organa opozycji zapytał swoich przyjaciół:

— Czy popełniłem jakie głupstwo, że ci ludzie mnie chwalą?

Zbliżenie się jego do Albiny, zaniepokoiło mnie. Był to człowiek, który lubił sobie z wszystkiego robić igraszkę, a igraszkę tem ponętniejszą, jeśli chodziło o pewne zwycięztwo nad sercem kobiety.

Zdawało się jakoby Kamilla była w porozumieniu ze swoją przyjaciołką, bo nietylko teraz od swojéj rozmowy ją uwolniła, ale nawet fotel swój odsunęła ku stronie, gdzie siedział pan Karol.

Hrabia Adolf wsunął teraz na jéj miejsce swój fotel i usiadł koło Albiny.

Rozpoczęła się między nimi rozmowa.

Mówili nadzwyczaj żywo. Pan Adolf giestykolował ręką i co chwila poprawiał szkiełko w oku, Albina często rozsuwała pierzasty wachlarzyk i nim twarz ożywioną zasłaniała.

Spojrzałem na pana Karola.

Pan Karol, zdawało się, nie widział nawet żony swojéj w téj chwili. Pani Kamilla zajęła go swoją rozmową. Przy tem wysunęła swój fotel w ten sposób naprzód, że siedzącemu przy niéj panu Karolowi zupełnie Albinę zasłoniła.

Czy przyjaciołka Albiny nie miała w tem jakiego planu ukrytego? Czy nie istniało między nią a Albiną jakie porozumienie w tym względzie? Czy nie podawała ona rękę odzywającéj się w sercu Albiny słabości dla bohatera przeróżnych sprawek miłosnych?

Usposobienie pani Kamilli przemawiało za tem przypuszczeniem ale sprzeciwiał się temu charakter Albiny, która przy każdéj sposobności okazywała umysł szlachetny i podniosły.

— Czyżby to być mogło, myślałem sobie, aby wyższego umysłu kobieta mogła się zająć maluczkim bohaterem szwalni i dystrybucji cygar? Czyż mogłaby dla takiego bohatera przełamać granice obowiązków i wejść na pochyłą drogę, z któréj tylko w przepaść się idzie? Jakże mizerna byłaby sytuacja takiego dramatu, o którym wspomniała mi Aspazja!.. Nie, to być nie może, to tylko rozbudzona sennem widmem wyobraźnia mogła mi podobne rzeczy podsunąć, które młodéj kobiecie ujmę czynią!

Zacząłem się już wstydzić moich niesłusznych przypuszczeń, gdy znowu jakiś złośliwy duch oszczerca podszepnął mi do ucha:

— Czyż nie jest to rzeczą dowiedzioną, że kobiety wybierają sobie częstokroć na bohatera swego serca, najniegodniejszego z pomiędzy niegodnych!

Zamyśliłem się nad tem dosyć rozpowszechnionem mniemaniem, które nawet codzienne doświadczenie dostatecznie stwierdza. Przypomniałem nawet sobie pewną długą uczoną rozprawę znakomitego pisarza, który przykładami z historji dowodził właśnie téj nieszczęsnéj ułomności serca kobiecego!

Żal mi jednak było owego świetlanego ideału którym w życiu naszem ma być kobieta abym mógł pozostać przy takiem mniemaniu. Bo czemże podówczas stałby się ten nasz ideał, gdyby zamiast być nagrodą uczuć szlachetnych, zamiast wznieść nas do swojéj pięknéj, świetlanéj krainy — służył w karczemnych izbach wyprawianym bachanaliom? Czy natura kobiety rzeczywiście jest tak niskiego przeznaczenia, aby atmosfera karczmy lub rynsztoków ulicznych była dla niéj żywiołem stosownym?

Nie, tego przypuścić nie mogłem.

Chociaż pan Adolf mógł mieć dla kobiety pewien urok z powodu swojéj pozycji towarzyskiéj, nie można jednak było przypuszczać, aby bez wyjątku dla każdéj miał być niebezpiecznym bohaterem!

Śród takich myśli uważałem pilnie na rozmawiającą parę. Rozmowa ożywiała się coraz bardziéj. Twarz Albiny wyrażała pewne wzruszenie. Słuchała swego sąsiada z całem zajęciem. Nie uważała nawet, że siedząca opodal pani półkownikowa, sędziwa staruszka, często głowę ku niéj zwracała i jakby z rozmowy coś usłyszawszy dziwnie się uśmiechała.

Wkońcu przybrała rozmowa wyraźny pozór jakiejś delikatnéj sprzeczki. Na pojedyncze słowa sąsiada, odpowiadała Albina całą kaskadą słów przycz em jéj twarz rumieniła się coraz więcéj.

Pan Adolf uśmiechał się z pewną ironią.

Wszystko to razem wziąwszy stanowiło pewne poszlaki, że rozmowa między panem Adolfem a Albiną potrąca rzeczy nieobojętne; ktokolwiek bądź patrzałby z uwagą na nich w téj chwili, powziąłby przekonanie, że sprzeczka ta ożywiona, ma źródło daleko głębiéj sięgające, niżeli zwykła towarzyska rozmowa która prowadzi się aby nie milczeć.

Im więcéj przypuszczenia moje prawdopodobieństwa nabierały, tem smutniéj było mi, tem boleśniejsze uczucie ogarniało serce moje.

Ciemne strony życia ludzkiego rażą nas zazwyczaj, a choćby nawet na chwilę podrażniały naszą ciekawość zostawiają jednak zawsze po sobie pewien niesmak, pewne nieukontentowanie.

Uczułem ten niesmak i nie chciałem dłużéj pozostać na zajętem stanowisku.

Odszedłem do przyległego pokoju.

W tym pokoju poważniejsze towarzystwo, jak zazwyczaj mówią, zabawiało się grą w karty. Jedni grali wista. drudzy ulubionego podówczas bezika. Kilku spektatorów przechadzało się od jednego stolika do drugiego.

Mąż pani Kamilli, pan Awit wyświęcił był własnie swoje karty, bo w téj chwili odgrywał rolę „Kółka".

Zdaje się, że atmosfera pokoju była dla niego za gorąca. Strugi potu lały się z jego łysiny, które od czasu do czasu ocierał chustką fularową. Niezwykła tusza jego nie pozwalała mu także wygodnie siedzieć bo często poprawiał się i kręcił na krześle.

Uporządkowawszy karty według maści symetrycznie, odsapnął głęboko i rzekł do spektatora po lewéj stronie:

— *Ten tego moscidzieju*... to są tylko złe języki a nic więcéj! Ot ludzie nie mają co robić, więc zatrudniają się cudzemi sprawami! Coby mnie cudze sprawy obchodziły!.. Czy dać dwójkę czy króla?

— Przecież o domysłach nikt nie mówi, odparł spektator z lewego boku, tylko mówiliśmy o faktach.

— Fakta! Fakta! replikował pan Awit ocierając pot z czoła — jakie to fakta! Co za fakta! Dzieciństwo nic więcéj *ten tego mościdzieju*!

— Ależ przecież przyznasz pan, że to jest faktem, jeźli komu żona ucieknie w towarzystwie rotmistrza od huzarów!

— Kto tam był przy tem! Może ot tak sobie dla przewietrzenia się pojechała do Paryża!

— Jakto? Z huzarem?

— Huzar mógł swoją drogą jechać do Paryża!

— Pan jesteś za nadto pobłażliwym!

— Bo ludzie zaraz z komara robią wołu!

— Rotmistrz przecież to nie komar!

— A gdyby *ten tego* i tak było! Po cóż to zaraz krzyczyć! Być może, że huzar na chwilę głowę jéj zawrócił, być może nawet że oboje na wojaż się wybrali, ale ręczę wam, że za kilka miesięcy wróci do męża i zapomni o rotmistrzu!

— Ba!

— No i cóż *ten tego*? Albo to po raz pierwszy podobne rzeczy na świecie się dzieją, a przecież mężowie nie umierają dla tego głupstwa......

— Masz pan słuszność, ozwał się spektator z prawéj strony, jeżeli tak już jest w istocie, to wyżéj stawiam kobietę która od męża ucieka od téj, która przy nim siedzi a z innym romansuje!

Pan Awit otarł znowu pot z czoła.

— W teorji może to być prawdą, odparł po odrzuceniu króla treflowego, a w praktyce jest to rzecz niewygodna. Jeżeli żona tylko publicznego zgorszenia nie robi, to już dobrze! Niech tam ludzie pokątnie co chcą o niéj mówią, zawsze to jednak nie wystarczy do potępiającego wyroku. Znajdzie ona, osobliwie pomiędzy kobietami, wielu obrońców — a jeśli zrobi jakiś krok nierozważny, to wszystkich ma przeciw sobie!

— Tak, odrzekł spektator z lewéj strony, przypomina to karny kodex Greków którzy złodzieja karali za to że niezgrabnie ukradł!

— Cha, cha, cha! zaśmiał się pan Awit na całe gardło zbierając karty — otóż to doskonale pan powiedziałeś! *Ten tego* wybornie mościdzieju! Ależ wybornie!.... Raz, dwa, trzy — przegraliśmy robra!

W téj chwili wszedł niezwykłym krokiem pan Karol do pokoju.

Twarz miał więcéj ożywioną, usta zaciśnięte.

Wziął papieros, zapalił i gęsty kłęb dymu wybuchnął daleko przed siebie.

Powoli, wdzięcznie chwiejąc się na wszystkie strony zbliżył się do stolika pan Adolf.

Zaczął z flegmą wybierać z pudełka cygaro.

— Pan palisz papierosik? rzekł z flegmą do pana Karola.

— Tak, krótko odpowiedział zapytany — inaczéj nie różnilibyśmy się w gustach tak jak się różnimy w zdaniach.

Pan Adolf zajęty był ciągle wybraniem suchego cygara.

— *Vous avez raison*, odpowiedział po chwili, w czemś musimy się koniecznie różnić — w jednéj bitwie nie może być dwóch zwycięzców!

— Tylko arlekini wieńczą się dla zabawki — laurem!

— Zawsze to jest lepiéj niżeli wieniec—grochowy!

— Nie rozumiem pana!

— A mnie się zdaje, że się doskonale rozumiemy!

— Czybyś pan nie był łaskaw?...

— O zawsze i wszędzie!... Tylko nie bierz pan rzeczy zbyt gorąco!..... Zdaje mi się że w najgorszym razie można znaleźć „modus vivendi"!

— Pan bawisz się w dyplomacją!

— Zdaje mi się, że ona jest konieczną w tym razie!

Pan Karol rozgniótł papieros i odrzucił go.

Rozśmiał się pan Adolf i rzekł:

— Zapraszam pana do pudełka, cygara wyborne— przynajmniéj zejdziemy się na polu neutralnem!

Pan Karol wahał się chwilkę. Potem z uśmiechem sięgnął do pudełka.

— Excusez, rzekł do pana Adolfa, jestem tym razem zmuszony zgodzić się z gustem pana a tem samem wejść mu w drogę!

— *O pardon*! odparł pan Adolf puszczając przez nos błękitny dymek, ja nigdy nie chodzę Szpitalną, tylko Chmielną!

Rzekłszy to zaśmiał się pan Adolf serdecznie i szczerze i obrócił się do spektatora z lewéj strony.

Pan Karol widocznie tłumił w sobie jakiś gniew którym w téj chwili mocno pałał.

Domyślałem się, że w salonie zaszło zapewne coś co ich tak mocno rozdrażniło przeciw sobie.

Zdawało mi się, że moje przypuszczenia mogły być prawdziwe...

Pospieszyłem więc czem prędzéj na moje dawne stanowisko, aby stan rzeczy na gorącem uchwycić.

Uznałem za stosowne zbliżyć się teraz wprost do pani Albiny. Jeżeli ta kobieta była rzeczywiście przedmiotem téj rozdrażnionéj rozmowy między panem Adolfem a mężem, to mogłem łatwo poznać z rozmowy z nią o ile prawdziwe były moje podejrzenia.

Właśnie stał próżny fotel koło niéj.

— Chciałem już dawniéj zbliżyć się do pani, rzekłem podając jéj rękę, ale widziałem panią zajętą jakąś nader ważną rozmową ze swoim sąsiadem!

Wyrzekłszy to spojrzałem z uwagą w twarz Albiny. Byłem pewny, że żadna kobieta w takim razie nie zdoła zupełnie ukryć tego, co jéj serce w téj chwili porusza.

Twarz Albiny zawiodła zupełnie moje oczekiwanie. Nietylko, że nie obaczyłem tam żadnego z tych wyrazów, które jakiekolwiek wewnętrzne wzruszenie zdradzają, ale nawet najmniejszego cienia nie dostrzegłem, któryby mógł zaćmić wieczną pogodę tego pięknego oblicza.

— Ach! powiadasz pan, odpowiedziała czystym głosem jak dźwięk struny metalowéj — powiadasz pan, że widziałeś mnie zajętą rozmową z moim sąsiadem!.... Jakże niebyło z zajęciem słuchać całego przebiegu polowania z chartami u Xięcia Henryka, które miało tyle pociesznych i smutnych epizodów?

— Pan Adolf o polowaniu prawił pani?

Rzuciłem okiem na półkownikową.

— Rzeczywiście, opowiadanie było bardzo ciekawe! wmieszała się do rozmowy półkownikowa — chociaż pan Adolf nie dla mnie opowiadał. nie mogłam się jednak powstrzymać, aby choć kilka epizodów nie usłyszyć.

— Więc o polowaniu mówił pan Adolf! powtórzyłem więcéj do myśli własnych.

— Żałuję bardzo, że panu tego z wszystkiemi szczegółami powtórzyć nie mogę — mówiła daléj Albina z ożywieniem, bo mogłabym tylko popsuć cały przedmiot! Ale pan Adolf obiecał w tych dniach być u nas na obiedzie — jeżeli pan pozwoli, to mogę pana listem zaprosić. Obiecujesz mi pan tę przyjemność?

Na razie nie miałem gotowéj odpowiedzi. Wyrzekłem kilka słów nijakiego znaczenia, które różnie można było tłomaczyć.

Innéj odpowiedzi nie mogłem w téj chwili dać Albinie. W głowie mojéj stał się jakiś dziwny nieporządek. Wszystko co tam przed chwilą ułożyłem, rozpadło się i zawaliło. Owe kunsztowne rusztowania połamały się, a wraz z niemi runął cały gmach domysłów i podejrzeń!

Najwięcéj przyłożyła się do tego sama twarz Albiny. Była ona tak spokojna i pogodna, nie było tam żadnéj chmurki przebytego wzruszenia, żaden fałdzik nie namarszczył tego pięknego czoła!

Byłem właśnie zajęty zasłużonemi wyrzutami jakie sam sobie czyniłem z powodu, żem niesprawiedliwe śmiał powziąć podejrzenia—gdy się drzwi z pewnym łoskotem otworzyły, a do pokoju weszła w zielonéj sukni—Aspazja.

Chociaż rozmowa pana Karola z hrabią Adolfem w drugim pokoju, upadłe moje podejrzenia na nowo podnieść usiłowała, byłem jednak moją niesprawiedliwością wyrządzoną Albinie, tak mocno przejęty, że żadnego już podszeptu w tym względzie usłuchać nie chciałem.

Miałem nawet za złe nietylko sobie, ale nawet i Aspazji, że rozdrażniła moją wyobraźnią i pokusiła mnie do grzechu, żem przez kilka chwil źle myślał o innych.

Korzystając więc z pierwszéj sposobności, przysiadłem się do Aspazji i zaraz na wstępie rzekłem z pewnym wyrzutem:

— Mam żal do pani—

— Ach! Nie zastałeś mnie pan wczoraj! przerwała mi, ale mam twoją kartę!

— Mam żal do pani, mówiłem daléj, za nielitościwe rozdrażnienie mojéj wyobraźni, która nie tylko trapi mnie nocnemi widmami, ale nawet i na jawie każe mi widzieć rzeczy, które za chwilę rozpływają się jak złudne fata morgana!

— Masz się pan przecież czem bawić!

— Ale zabawa ta odbywa się często na koszt bliznich naszych!

— Czy sądzisz pan, że im wyrządasz krzywdę?

— Podejrzywać kogoś niesłusznie jest wielką krzywdą!

Aspazja rozśmiała się tym dobrze mi znanym szyderskim uśmiechem i odparła:

— Jakże? Obawiasz się źle myśleć o innych, a chcesz może odemnie, abym ci złe rzeczy o nich opowiadała?... Tego nie uczynię!

— Na cóż rozbudziłaś pani moją ciekawość?

— Dałam ci nić do ręki—abyś sam szukał wątku!

Zamyśliłem się nad temi słowami.

— Widzę, że przecież muszę panu w czemś dopomódz, ozwała się po chwili Aspazja.

Po chwili namysłu dodała:

— Przyjdź pan jutro wieczorem do mnie!

W téj chwili służba zaczęła roznosić herbatę i przekąski.

Towarzystwo podzieliło się w inne grupy.

VII.

Przyobiecana pomoc Aspazji zajmowała odtąd cały mój umysł; resztę wieczoru spędziłem bez żadnych szczególnych spostrzeżeń. Zresztą na nic mi się one teraz nie przydały, bo i tak byłyby to tylko przypuszczenia, które nie mogły mnie doprowadzić do żadnego celu.

Słowa Aspazji stworzyły teraz dla mnie nową sytację. Byłem w wysokim stopniu już rozciekawiony, widziałem już tu i owdzie wiszące nici zajmującego wątku—reszty miała dokonać Aspazja.

Tak sobie teraz całą rzecz wyobrażałem i ze spokojnem sumieniem wdałem się w długą rozmowę z panem Piotrem, któréj przedmiotem było ni mniéj ni więcéj jak tylko radykalne przekształcenie całéj Europy!

Po dwugodzinnéj walce o granice przyszłych państw i narodów, w czem pan Piotr ani o włos od swoich planów odstąpić nie chciał, spostrzegłem dopiero, że towarzystwo znacznie się już przerzedziło i że między obecnymi ani Albiny ani jéj przyjaciołki nie było.

Jeden tylko hrabia Adolf siedział na sofie w drugim pokoju i z widoczną wesołością rozmawiał z dwoma sąsiadami prawdopodobnie o polowaniu z chartami u księcia X***.

Pożegnałem gospodarza i wyszedłem.

Długo jeszcze w noc rozbierałem w głowie, co na wieczorze widziałem i czego nie widziałem, a co mimowoli cisnęło mi się do rozgorączkowanéj wyobraźni.

Prócz tego przyrzeczona pomoc Aspazji obiecywała mi, sam nie wiem dlaczego, jakieś dziwne piękne, czy raczéj ciekawe rzeczy, które jutro usłyszyć miałem!

Do jutra jednak było jeszcze dosyć daleko. Tymczasem dla zapełnienia tych godzin, tworzyłem sobie prawdopodobne fakta i niemi wyobraźnią bawiłem.

Tym razem nie miałem żadnéj od duchów pomocy. Spirytycznych objawień nie było, chociaż ich wielce pragnąłem! W końcu i pragnienie moje musiało się zakończyć, a sen twardy i spokojny, bez żadnych mar i przywidzeń pokrzepił mnie dostatecznie, abym z należytym spokojem mógł to wszystko wysłuchać, co mi dzisiejszego wieczora opowiadać miała Aspazja.

I zaraz prawie ze zmierzchem udałem się tamże.

Wybrałem godzinę wczesną raz dla tego, że Aspazja za zwyczaj u siebie wcześnie herbatę piła, po któréj koło godziny jedenastéj lubiła jeszcze na inne wieczorki wychodzić, powtóre, chciałem wszystkich innych możliwych gości uprzedzić, przy których oczywiście rozmowa nasza musiałaby wziąć inny kierunek.

Aspazja mieszkała w dawnym pałacu przodków swoich, który jednak dzisiaj już nie był własnością potomków.

Pałac ten sprawił na mnie smutne wrażenie.

Był to okazały, dwupiętrowy budynek zbudowany przez włoskiego architekta w stylu odrodzenia, w znacznem zagłębieniu od ulicy, od któréj przedzielała go krata żelazna ze złoconemi szpicami.

Okazała brama, z początkowemi cyframi właściciela, z kutego żelaza, prowadziła na obszerny dziedziniec, wybrukowany okrągłym kamieniem.

Zamiast poważnéj ciszy, właściwéj wszystkim starożytnym pałacom arystokracji, było na tym dziedzińcu gwarno i tłumno, jakby się tutaj jaki jarmark odpustowy odbywał. Setki ludzi snuły się tam i na powrót, a wszędzie krzyk i hałas.

W pałacu bowiem dawnych senatorów Rzeczypospolitéj rozgościł się teraz—przemysł i handel.

Cały dół z przepysznemi salami o olbrzymich karjatydach zajął restaurator i szynkarz.

Na pierwszym piętrze była świątynia—mody.

Suknie, kapelusze, czepki i chustki wyglądały rozkosznie ze wspaniałych okien senatorskich i wabiły przechodzącą publiczność do siebie.

Drugie nizkie piąterko mieściło kilka tuzinów szwaczek, które czynne były na pierwszem piętrze.

Widać z wszystkiego, że pałac ten wyszedł już z posiadania potomków tych, którzy go zbudowali i przeszedł w ręce ludzi, którzy „łokciem i miarą" wyparli z tąd dawnych właścicieli!

Dla potomków dawnych senatorów pozostał tylko mały pawilonik po prawéj stronie pałacu.

Była to dosyć zgrabna oficynka, w któréj niegdyś prawdopodobnie mieścił się fraucymer. Dzisiaj był to jedyny przytułek spadkobierców świetnego, starożytnego nazwiska.

Zewnętrzny widok téj oficynki okazywał już dosyć wyraźnie, co się tam wewnątrz mieścić może.

Mury były czarne i przez deszcze obite. Miejscami od dachu aż do ziemi czerniły się wilgotne smugi, pochodzące od wody deszczowéj, która tutaj przez zpary popsutych rynien po murze ciekła. Szyby od okien zmatowały się od słońca, a niektóre z nich grały tęczowemi kolorami, jakby były malowane.

Po wydeptanych schodach wszedłem na pierwsze pięterko i zadzwoniłem.

Siwowłosy służący z wyrazem kamedulskim na twarzy otworzył mi drzwi i milczącem pochyleniem głowy zaprosił do wnijścia.

— Czy hrabina już przyjmuje? zapytałem.

— Panna hrabianka odpowiedział z naciskiem, właśnie w salonie.

Wszedłem do salonu.

Nadzieja jaką przed chwilą żywiłem, omyliła mnie.

W salonie zastałem kilka przyjaciołek Aspazji.

Sposobność mówienia sam na sam z Aspazją, była już na dzisiaj straconą. Zostało mi tylko rozpatrzenie się po mieszkaniu Aspazji.

Salon przedstawiał duży czworoboczny pokój, który niegdyś prawdopodobnie służył za garderobę lub kredens.

Dzisiaj wyposażono go stosownie do nowego przeznaczenia w różne niegdyś zbytkowe sprzęty, które dzisiaj przypominały gabinet archeologiczny.

Na środku stał duży stół mahoniowy z pozłacaną niegdyś rzeźbą, która dzisiaj świeciła jakimś kolorem brunatnym. Łodyga jakiejś egipskiéj rośliny stanowiła podstawę tego starożytnego zabytku.

W koło tego poważnego staruszka stały krzesła gotyckiéj struktury obite skórą w arabeski złoconą.

Na samym środku stołu stał duży marmurowy zegar z poczwórną twarzą. Cztery cyferblaty okazywały wszystkim czterem częściom świata bieg czasu, a każde stuknięcie wahadła przypominało wesoło bawiącym się gościom, że sekunda ich życia ubiegła już bezpowrotnie!..

Kilka w prostym kącie złamanych kanapek wypełniało kąty salonu. Przed każdą z tych kanapek stał mały stolik z różnemi albumami. A wszystko to, było przysłonione rzędem szerokolistnych kwiatów i tworzyło ustroń nader miłą a czasem i mocno pożądaną! Siedzący bowiem za tymi klombami wazonów mogli wygodnie rozmawiać śród zgiełku w salonie, a nie jedno spojrzenie mogło się tam zamienić w przyjaźń szczerą i dozgonną.

Na ścianach wisiały duże obrazy w złoconych ramach. Było to spadkobierstwo dawnych senatorów. Najwięcéj z nich należało do staréj włoskiéj szkoły lub hiszpańskiéj. Wyobrażały same poważne rzeczy z życia pierwszych chrześcian. Przykre wrażenie sprawiały prawdopodobne kopie Ribeiry, które przedstawiały różne męczarnie świętych męczenników. Wszystko było tu poważne, ponure, smutne, klasztorne.

Przyszło mi na myśl, że w tym przybytku zbiegło Aspazji lat przeszło siedmdziesiąt!

I cóż wypełniało tę długie lata? Czyż te kanapki w rogach salonu, przysłonione klombami kwiatów nie mogłyby mi nic powiedzieć ciekawego? Czyż nie miał świat dla wnuczki znakomitych dygnitarzy żadnego uśmiechu, któryby bodaj wspomnieniem olśnił jéj życie smutne i samotne?...

Śród tych smutnych myśli zbudził mnie nagle chropawy głos gospodyni:

— Pozostaw pan wszelkie marzenia za sobą, rzekła z ironicznym uśmiechem, bo jesteś w przybytku w którym się już nie marzy!

— Tak jest, nie marzy się, podjęła jéj przyjaciołka sędziwa dama w czarnéj sukni — nie marzy się ale przemyśliwa nad wypełnieniem obowiązków, których tyle jest w tak krótkiem życiu naszem!

— Marzenie, dodała mała brunetka z palącemi oczyma, nietylko jest grzechem, ale nawet stratą czasu, jak tego uczą nowocześni ekonomicy!

Słowa tak dalekonośne i z taką wymówione powagą zwróciły moją uwagę na otoczenie dzisiejsze Aspazji, z którem właśnie mnie zaznajomiała.

Na pierwszem miejscu siedziała owa sędziwa czarna matrona z surowym wyrazem na twarzy, która pierwsza zaczęła mówić przeciw marzeniu. W całéj jéj postaci było coś ascetycznego, co przypominało konterfekty owych świątobliwych założycielek zakonów.

Jéj sąsiadka, mała żywa brunetka z szybko biegającemi oczyma, mogła przedstawiać kobietę uczoną, która na to tylko oddawała się naukom nowożytnym, aby ich językiem szermierzyć przeciw uświęconym tradycjom społeczeństwa i wiary.

Trzy inne kobiety miały role nie jasno określone, ztąd nie mogłem urobić sobie o nich żadnego zdania. Wszystkie jednak należały do poważnego zastępu, jedna tylko blondynka o błękitnych oczach zdawała się być jeszcze do tego grona niedojrzałą i odgrywała rolę katachumenki.

Rozmowa obracała się znów w czczych ogólnikach. Zdawało się, że przyjściem mojem przeciąłem jakiś przedmiot rozmowy na dwoje, którego końce nie mogły się teraz zejść w żaden sposób.

Podczas kiedy czarna matrona z małą brunetką o różnicę myśli i marzeń z sobą walczyły, rzekła do mnie Aspazja pół głosem:

— Powinieneś mi być wdzięcznym za dzisiejsze towarzystwo!

Spojrzałem na nią z powątpiewaniem.

Aspazja zrozumiała moje spojrzenie.

— Kobiety te, szepnęła, o wszystkiem wiedzą i o wszystkiem mówią!

Zrozumiałem Aspazją ale wdzięczny jéj wcale nie byłem. Cóż bowiem mogą mnie obchodzić różne plotki i ploteczki małego świata, podczas gdy gotowałem się do wyczerpującéj rozmowy z Aspazją, któraby mi niejedną zagadkę wytłomaczyć mogła?

(d. c. n.)

BOHATER PIÓRA

PRZEZ

E. WERNERA

TŁOMACZONE Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

— I jakaż to kuracja? zapytał profesor w roztargnieniu i wpatrując się już tęsknie w swoje ulubione książki.

— Powinieneś pan rok jeden — ale to cały okrągły rok, ani dotknąć pióra, na żadną książkę ani spojrzeć, a przedewszystkiem nawet nie pomyśleć o nauce. Zamiast tego wszystkiego trzeba ciało wzmacniać, jeżeli inaczéj być nie może, to z rydlem lub motyką pracować w ogrodzie, a pracować aż do znoju, aż do oblania się potem, od czasu do czasu przegłodzić się porządnie, a zarazem nie zważać na żadne zmiany powietrza i temperatury. Nie przypatruj mi się pan z takiem zadziwieniem, jak gdybym ci najprostszą drogę na tamten świat wskazywał; przy tak strasznie, jak u pana, nadwerężonym systemie nerwowym, tylko gwałtowne środki skutkować mogą. Mam niewątpliwie silne przekonanie, że taka kuracja, energicznie rozpoczęta i bez żadnego pobłażania przeprowadzona, mimo wszelkich przewidywań śmierci, jeszcze pana ocalić może.

Profesor wstrząsnął powątpiewająco głową. W takim razie przymuszony będę wyrzec się téj nadziei mego ocalenia, boć pan sam przyznać musisz, że w mojem położeniu, takiego wyrobniczego życia prowadzić nie podobna.

— Na nieszczęście wiem o tem! I pan będziesz niezawodnie ostatnim cobyś się mógł na takie zdobyć postanowienie. Pracuj tedy w imię boże daléj i przygotuj się na suchoty. Mówiłem i radziłem dosyć. Do zobaczenia!

Po tych, z gniewem wyrzeczonych słowach, poczciwy, ale nieco za porywczy doktór uchwycił za kapelusz i wyszedł. W przedpokoju atoli zastąpił mu drogę Fryderyk z niemem na zaniepokojonéj twarzy zapytaniem. Stefan poruszył niechętnie ręką, mówiąc:

— Z twoim panem, mój Fryderyku, nie ma zupełnie co robić. Podaj mu zwyczajne lekarstwo; to dawna jego choroba, która....

— O, nie, to nie dawna choroba, przerwał Fryderyk głosem stanowczym. Teraz, jest to coś zupełnie nowego, i od dnia w którym ta Amerykanka...

Doktór roześmiał się głośno. Przecież, mój kochany, nie będziesz chciał przybycia mojéj synowicy obwiniać o spowodowanie choroby twojego pana? Zawołał doktór rozweselony tem dziwnem zestawieniem dwóch zupełnie odrębnych rzeczy.

Zmięszany nieco Fryderyk nic nie odpowiedział; wiedział tylko doskonale, że te dwie epoki zgadzały się z sobą zupełnie.

— Ale powiedz że mi, co się właściwie dzieje z profesorem?

Tak stanowczem pytaniem zakłopotany, Fryderyk miął tylko czapkę w ręku, nie wiedząc co odpowiedzieć. Opisanie stanu jego pana, który go tak niepokoił, przechodziło jego zdolności oratorskie. Nie wiem, rzekł po chwili, ale on teraz jest zupełnie inny jak dawniéj.

— Głupstwo! rzekł doktór sucho. Ja muszę o tem lepiéj wiedzieć. Dasz mu zwyczajne lekarstwo, a potem staraj się oderwać go od biórka i wyciągnąć na świeże powietrze, tylko uważaj, ażeby czasem dla wypoczynku nie obładował się jakiemi książkami. Rozumiesz?

To powiedziawszy, zeszedł ze schodów i przybywszy do mieszkania, zapytał o swoją siostrzenicę.

— Wyszła jeszcze o godzinie czwartéj, odpowiedziała pani doktorowa z widoczną niechęcią, i znowu wyszła sama. Proszę cię, Stefanie, rozmów się z nią raz przecież i wytłomacz jéj całą niewłaściwość tych kilkogodzinnych samotnych przechadzek.

— Ja? zawołał doktór zakłopotany tem żądaniem żony. Nie moje dziecko, to twoja rzecz, ty sama powinnaś się z nią w tym względzie porozumieć.

— Porozumieć! przerwała sędziwa kobieta niecierpliwie, jak gdyby to z tą dziewczyną tak łatwo można trafić do ładu! Skoro tylko choćby najmniejszą wzmianką o ten lub każdy inny z wybryków Jenny zaczepię, słyszę zaraz: kochana ciociu, proszę bardzo pozostawić to mojemu uznaniu: i na tem kończy się wszelkie dalsze porozumienie.

Doktór wzruszył ramionami. Czy sądzisz, że mnie się to lepiéj powiedzie?

— Ale już połowa miasta rozpowiada o rozmaitych wyskokach dziewczęcia! dodała doktorowa. Ludzie czynią nas odpowiedzialnymi za to, i nie pojmują, że my to wszystko cierpieć możemy.

— Doprawdy? rzekł pan Stefan ze stoicką spokojnością.

— Więc życzę wszystkim, którzy o tem rozprawiają, ażeby Jenny przynajmniéj jeden tydzień w domu swoim potrzymali, dla sprobowania nad nią swéj władzy, a bardzo prędko staciliby wszelką do tego ochotę. Jenny ze swoją szorstką energją i ten profesor tam na górze ze swoją łagodnością, to są dwa kozły, z któremi całe miasto nic nie wskóra. Z nimi jedna tylko jest rada: stosować się we wszystkiem do ich woli.

Doktór miał słuszność, Miss Forest rzeczywiście bardzo mało dbała o to, czy jéj samotne wycieczki w B. uznawano za właściwe lub nie; tak jéj się podobały i na tem dosyć. Nie powiemy wcale, ażeby ona miała jakąś szczególną skłonność do samotnego błąkania się i marzenia nie było to w jéj usposobieniu chciała tylko poznać okolice miasta, a że po wyjeździe Atkinsa, nie miała nikogo coby jéj towarzyszył, przeto wychodziła sama jedna.

Tak właśnie, po ostatniéj kilkogodzinnéj przechadzce za obrębem miasta, stanęła na górze zasłanéj zwaliskami starego zamku, z któréj szczytu rozległy na wszystkie strony roztaczał się widok. Znużona zbyt długą drogą, usiadła na odłamie muru otaczającego zamek i oparłszy się o ścianę, któréj ręka czasu jeszcze nie zwaliła, rozglądała się ciekawie w okolicy. Znikła już mgła, która ją w dniu przybycia do B. dokoła otaczała, i to co ona dawniéj przed jéj wzrokiem zakrywała, teraz złotemi promieniami słońca ubarwione, szerokim u stóp jéj roztaczało się kobiercem.

Widok to był prześliczny. Jenny, przypatrując mu się ciekawie, wsunęła się głębiéj w cień wystającego muru. Te niemieckie krajobrazy dziwne czyniły na niéj wrażenie; wiało z nich na nią coś takiego, czego przy widoku najwspanialszych scen przyrody nigdy nie czuła, jakieś tchnienie smutku, pragnienia, tęsknoty za krajem! Ona tego wyrazu nigdy nie rozumiała; nie rozumiała go gdy widziała matkę z tęsknoty umierającą, nie rozumiała wtedy, kiedy jéj ojciec w ostatnich chwilach życia swojego tąż samą dręczony był tęsknotą. Dopiero, gdy stanęła na téj ziemi, dla któréj pod każdym innym względem obcą była, a do któréj z mocy świętego prawa urodzenia należała, zbudzała się ona w niéj czasami niewyraźnie lecz silnie, niby dalekie, na pół przebrzmiałe wspomnienie pierwszych chwil młodości, kiedy ojciec nie czuwał jeszcze tak energicznie nad jéj wychowaniem, i kiedy wyłącznie zostawała pod strażą matki, która legendami i pieśniami starego kraju rodzinnego zbudzała w dziecięciu ową tęsknotę, którą późniéj wdanie się ojca, zupełnie zniweczyło i w gorycz przemieniło. Było to dziwne, dla Jenny niemal przykre uczucie i pamiętała doskonale tę chwilę, w któréj się ono pierwszy raz w jéj piersi odezwało. Nie było to wcale przy oglądaniu jakiegoś wspaniałego widoku jak teraźniejszy, nie było w chwili zwiedzania prześlicznych nadreńskich krajobrazów, które przed niedawnym jeszcze czasem z wujem swoim Atkinsem objeżdżała, ale było śród gęstéj mgły na przesiąkłéj deszczem drodze bocznéj, pod osłoną krzaku bzowego, z którego pączków pierwsze zielone listki wystrzelić miały i śród głuchego szmeru u jéj stóp płynącego Renu. Wtedy to zbudziło się to uczucie po raz pierwszy i dziwnie jakoś plątało się zawsze z postacią tego człowieka, który wówczas stał przy jéj boku. Jenny bardzo rzadko i to nawet z pewnym wstrętem, przypominała sobie to spotkanie, w którem obok śmieszności bohatera było jeszcze coś romantycznego, czem zawsze zimno rozumująca córka Forest'a widocznie się brzydziła. To też i teraz właśnie chciała ona to natarczywe, ciągle powracające wspomnienie pogardliwie odtrącić od siebie, kiedy tuż obok siebie posłyszała kroki jakieś. Profesor Fernow pojawił się na załomie muru, pod którym zamyślona siedziała.

Jenny zmięszała się widocznie tem niespodziewanem zjawiskiem, które w téj chwili przypadkowo z jéj własnemi połączone było myślami, profesor zaś przestraszył się spotkaniem, którego się tu wcale nie spodziewał. Cofnął się zrazu z zamiarem spiesznego odwrotu, lecz zastanowiwszy się widać nad śmiesznością podobnéj ucieczki, po chwili wahania, ukłonił się i postąpił ku drugiéj stronie muru, gdzie w pewnéj odległości, chociaż, dla szczupłéj przestrzeni miejsca nie zbyt daleko od młodéj kobiety przystanął.

Pierwszy to raz dopiero spotkali się oboje sam na sam od owéj wieczornéj wspólnéj podróży do B. Przypadkowe spotkania w domu i ogrodzie, były zawsze ze strony profesora nieśmiałym ukłonem, ze strony zaś Jenny zimną na tenże ukłon odpowiedzią naznaczone; dłuższéj rozmowy oboje z równą unikali starannością, a zdawało się, że i dzisiaj takież same były ich zamiary. Profesor przybył zmęczony i zadyszany; ani znój długiéj drogi, ani utrudzające drapanie się pod górę, którem on poleceniu doktora używania umiarkowanego ruchu sumiennie zadosyć uczynić pragnął, nie zdołały zarumienić jego oblicza, które zawsze jeszcze dawną okrywała bladość. Głębokie bruzdy na czole młodego jeszcze człowieka, sinie obwódki pod oczyma, wszystko to stwierdzało aż nadto, co Jenny dosyć już często od wuja swego słyszała, że profesor na śmierć zapracować się musi i że dni jego są policzone.

A mimo to jednak—zawsze przychodziła na myśl owa chwila, kiedy Fernow wprowadzając ją do B. zatrzymał się nad zalaną wodą drogą. Nie były to ręce suchotnika, te ręce, które ją tak silnie w górę podźwigły a potem tak lekko i pewno przez wodę przeniosły. Nawet ten żywy, szkarłatny rumieniec, którym się lica jego oblały, na objawioną przez nią wątpliwość o jego sile, nie przedstawiał nic chorobliwego. Jenny nie umiała sobie wytłomaczyć sprzeczności, zachodzącéj pomiędzy ową chwilą, a zwykłym stanem profesora, i dzisiaj sprzeczność ta, jeszcze wybitniéj stanęła przed jéj oczyma.

— Czy i pan często odwiedzasz te zwaliska? za-

pytała nareszcie widząc że jéj nic innego już nie pozostaje, jak tylko rozpocząć rozmowę, do któréj uporczywie milczący profesor przystąpić nie miał odwagi; wiedząc nadto ze słyszanych o młodym dziwaku opowiadań, że to jego milczenie nie mogło w sobie mieć nic dla niéj obrażającego.

Fernow odwrócił się nagle usłyszawszy dźwięczny głos dziewicy, i zdawało się, że chciał teraz wszystkie siły skupić, ażeby w jéj obecności zapanować nad swojem marzącem roztargnieniem.

— Jesto najpiękniejszy punkt w okolicy naszego miasta. Odwiedzam go tak często, ile mi tylko czas na to pozwala.

— A pewnie się to dosyć rzadko przytrafia?

— Rzeczywiście. zwłaszcza tego lata, kiedy wszystkie siły moje ważniejszéj pracy poświęcać jestem przymuszony.

— Znowu pan piszesz dzieło uczone? zapytała Jenny z lekkiem szyderstwem.

— Dzieło naukowe! poprawił profesor z pewnym przyciskiem, odpierając ironję Amerykanki.

Jenny zacisnęła usta szydersko.

— Pani zapewne sądzisz, że to praca niewdzięczna, niepożyteczna? zapytał z gorzkim uśmiechem.

—Jenny wzruszyła ramionami. Przyznać muszę, że nie mam zbyt wielkiego poszanowania dla mądrości książkowéj, i że nie pojmuję wcale tego, jak można dobrowolnie całe swoje życie poświęcić jakiejś nauce która tak jak wasza nauka, panie Fernow, tylko dla uczonych może być zajmującą, a dla reszty ludzkości pozostaje martwą, bezpożyteczną, drukowaną bibułą?

I była to znowu owa szkaradna otwartość panny Forest, która jéj wuja tak często do rozpaczy przywodziła. Profesor wszakże nie zdawał się nią być ani zdziwionym, ani obrażonym. Zwrócił powolnie swoje wielkie melancholiczne oczy na oblicze dziewicy, która zaczynała już żałować, że się w podobną wdała rozmowę; albowiem, chociaż teraz śmieléj niż pierwszą razą tym oczom oprzeć się umiała, zbudziły one jednak to dawniejsze lękliwe a przykre uczucie, nad którem zapanować dotąd nie mogła.

—Któż pani mówi, że się to dobrowolnie stało? zapytał Fernow głosem stłumionym.

— Wszakże do obrania takiego kierunku nikt zniewolić nas nie może!

— Ale może nas przyzwyczaić! Zwłaszcza, jeżeli ktoś jest bez rodziny, przytułku, a popadnie w ręce uczonego, który prócz swojéj nauki nic nie zna, nic nie kocha na świecie. Małem pacholęciem, przykuto mnie do stołu obładowanego książkami; młodzieńcem popędzano mnie ustawicznie naprzód, wytężając moje zdolności aż do ostatecznych krańców, dopóki zamierzonego celu nie osiągnięto. Rzecz naturalna, ze w takiem jarzmie, co tylko miałem w sobie młodości zdowia i poezji, wszystko zniweczono, i ten którego drukowana bibuła tyle ofiar kosztowała, musi jéj teraz na resztę życia swojego pozostać wiernym, Dla tego też we mnie zamarło już wszelkie inne pragnienie i—wszelka inna nadzieja.

Jakaś ponura rezygnacja towarzyszyła temu wyznaniu. i dziwnie bolesne wejrzenie prefesora spoczęło przy powyższych ostatnich wyrazach na obliczu panny Forest, spojrzenie które zbudziło w niéj pewien rodzaj gniewu przeciwko niemu i przeciwko saméj sobie. Dla czego ona nie mogła znieść spokojnie tego spojrzenia? Jeżeli cośkolwiek poniżało go w jéj oczach to więcej nad wszystko poniżało go owo smutne wyznanie. Więc on nawet nie z przekonania i nie z natchnienia, ale z przywyknienia i prostego poczucia obowiązku zabijał się swą pracą! Ta bierna wytrwałość w narzuconem powołaniu, wydawała się kobiecie energicznéj niezmiernie nędzną. Zaiste kto nie miał siły i odwagi podnieść się w życiu swojem, taki zdaniem Jenny, mógł sobie zginąć śród pyłu drukowanéj bibuły.

Profesor nagłem poruszeniem odwrócił się od niéj ku rozpostartemu przed nimi krajobrazowi. który w téj chwili jasno zakraśniał pod ostatniemi promieniami zachodzącego słońca. Jenny zwróciła także w tę stronę swe oczy. Różowe światło zalało jakby jednym płomieniem wieczorne niebo, na którego purpurowem tle sine szczyty gór wznosiły się w czystych eterycznych zarysach: światło to ogarniało wszystkie miasta i wioski u stóp gór rozłożone: odbijało się błyszcząco w zielonawo złocistych falach rzeki, która spokojnie i majestatycznie wiła się po rozległéj równinie, zwężając się coraz bardziéj i ginąc w dalekim widnokręgu, gdzieś na samym krańcu, jak olbrzymi obraz mglisty wznosiła się potężna katedra, słusznie za koronę starego Renu poczytywana.

I cudny pobłysk tego światła zatrzymywał się drżąco na szarych rozpadających się kamieniach ruin zamkowych, na ciemnych liściach bluszczu, który je zieloną siecią opasywał, na gęstych powojach, których zwieszającymi się nad przepaścią gałązkami, wieczorny wiatr lekko kołysał i wreszcie, na obliczach dwojga tam wysoko stojących osób.

Jenny była przez kilka minut tak głęboko pogrążona w widoku tego cudownego oświetlenia, że nie spostrzegła wcale, jak profesor tuż przy jéj boku stanął i rzekł do niéj głosem cichym, którego się ona jednak niewiadomo dla czego. przelękła:

— Czy nasz stary Ren zdolny jest i w pani przynajmniéj chwilowe wywołać podziwienie?

— We mnie? I przyszło jéj zaraz na myśl, że on mógł coś odgadnąc z téj słabostki, którą sobie już niejednokrotnie pod tym względem wyrzucała. Wprawdzie była ona zupełną panią nawet wyrazu rysów swoich i mogło to tylko być prostem przypuszczeniem, jednakże samo to przypuszczenie już ją gniewało.

— We mnie? powtórzyła z zimną obojętnością. Może pan masz w części słuszność. Niektóre szczegóły znajduje w tym krajobrazie bardzo ładne; całość przecież zdaje mi się być ciasną i lichą.

— Ciasną! lichą! Powtórzył Fernow, jak gdyby nie dobrze te wyrazy zrozumiał i z wątpiącem niedowierzaniem wpatrzył się w oblicze panny Forest.

— Tak ja to przynajmniéj tak nazywam, dodała Jenny wyniośle jeszcze więcéj rozdrażniona tym jego wzrokiem. Kto jak ja, żył na brzegach olbrzymiéj rzeki, kto przerażającą wspaniałość takiéj Niagary, majestatyczność dziewiczych lasów poznał, temu niemieckie krajobrazy bardzo maluczkiemi wydawać się muszą.

Lica profesora pokryły się lekkim rumieńcem widać, że i on poczuł się rozdrażnionym.

— Jeżeli pani samą tylko przestrzeń mierzyć zechcesz to dobrze. My tu sądzimy o rzeczach według zupełnie innéj miary, która pewnie także maluczką wydawać ci się będzie, lecz upewniam panią, że według téj naszéj miary „krajobrazy pani" okażą nam się bardzo pustemi, samotnemi, zupełnie nawet martwemi.

— Doprawdy! Pan to wiesz tak dokładnie?

— Niezawodnie!

— Szczerze się panu dziwię, panie Fernow, rzekła Jenny z nietajonem wcale szyderstwem, że nie zobaczywszy własnemi oczami wydajesz pan tak stanowczy wyrok. Zdaje się, że nasze okolice nad rzeką Missisipy, uważasz pan za jakieś pustynie, a powinienbyś przynajmniéj z książek twoich wiedzieć, że życie jakie tam kwitnie, jest nierównie pełniejszem i wspanialszem, niżeli tutaj nad waszym Renem.

— Życie to codzienne, powszednie, rzekł profesor w coraz większem rozdrażnieniu, praca dla jednéj chwili! Wasza olbrzymia rzeka, Miss Forest, z jéj tysiącami parowców i łodzi, z jéj ludnemi miastami i urodzajnemi brzegami, nie da wam przecież nigdy tego, co nam każda najmniejsza kropla naszego Renu przynosi, nie da wam uroku przeszłości, historji narodów, poezji minionych wieków. Nam, tu przeszedł nagle z języka angielskiego, którym dotąd ciągle mówił do niemieckiego: nam, wieje i dzwoni to w tysiącu podań i pieśni, z każdego szumu lasu, z każdéj skały; nas okrążają i zstępują do nas ze starożytnych zamków potężne postacie naszéj przeszłości, przechowują się w naszych grodach stare rody upadłéj władzy i potęgi, wznoszą się w naszych odwiecznych świątyniach pomniki nieprzeżytéj sławy i wielkości, nas wabi i przyzywa w zielonych falach wód naszych urok czarodziejski cudnych podań naszego ludu, i z głębi tych wód, lasów i ziemi, dźwięczą nam chóry walecznych rycerzy Nibelungów,—wszystko to żyje nam i odzywa się do nas z cichych, spokojnych fal naszego Renu, który, naturalnie, osobie obcéj jego ziemi wypowiedzieć tego wszystkiego nie może.

Jenny słuchała początkowo z zadziwieniem potem z głębokiem zdumieniem, w końcu już z widoczną trwogą. Cóż się to stało z tym człowiekiem? jaka gwałtowna zmiana zaszła w całéj jego osobie? Stał on przed nią z głową dumnie podniesioną, z obliczem jakimś namiętnem opromienionem żarem, z okiem pałającem natchnieniem, a to wszystko podnosił jeszcze głos dźwięczny i czysty, tudzież porywający zapał mówcy ciskającego słowo po słowie, obraz po obrazie w zdumioną duszę słuchającéj. Zdawało jéj się że i tutaj rozpadła się przed nią owa mglista zasłona, że wzrokiem sięgała w jakąś jasną złotem opromienioną daleką przestrzeń. Ciemna powłoka osunęła się nagle z bladéj dotąd postaci, która tak długo w głąb pamięci odpychana, stanęła teraz przed nią w prawdziwem swojem świetle. Lecz Jenny Forest nie dosyć była kobietą, ażeby pod tym szczególnym czarem dłużéj nad kilka minut pozostać mogła, i by się natychmiast z niego wszelkiemi siłami otrząsnąć nie chciała; dla tego też harda jéj natura, oburzyła się całą dumą swoją przeciwko téj potędze przed którą jakąś chwilkę uległa, przeciwko temu uczuciu, które ją tak zatrważająco ogarniać zaczynało. Bądź co bądź, postanowiła rozedrzeć tę sieć zdradziecką, i w szybkiem postanowieniu chwyciła za pierwszą broń jaką miała pod ręką, to jest uciekła się znowu do swego nieubłaganego szyderstwa.

— Nie wiedziałam, że pan jesteś poetą, panie Fernow.

Profesor wzdrygnął się gwałtownie, jak gdyby jakimś rażącym, fałszywym tonem boleśnie został dotknięty. Jasny promień natchnienia przygasł nagle na jego licach, i spuścił oczy niby jaki winowajca.

— Poetą! Ja? powtórzył cichym, na pół stłumionym głosem.

— Przecież to co pan dopiero mówiłeś, nie brzmiało wcale jak proza.

Fernow odetchnął głęboko i przetarł ręką zachmurzone czoło.

— Proszę mi przebaczyć, ośmieliłem nudzić panią tą moją poezją; przypisz to pani mojéj nieznajomości przepisów towarzyskich, których najpierwszą zasadą jest nie mówić paniom o rzeczach, których one pojąć nie są zdolne.

Jenny przygryzła usta niechętnie. Ten uczony pedant, jak go jeszcze dziś rano nazywała, dziwnie jéj się teraz objawiał; dopiero co poetyczny, za chwilę mógł już być złośliwie kąsającym, ale mniejsza o to; taki stosunek był dla niéj odpowiedniejszy,

bo się mogła z przeciwnikiem swem równą bronią potykać! Młoda kobieta w gniewie swoim nie dostrzegła wcale tego bolesnego oburzenia, które jedynie professora do téj niezwykłéj mu goryczy pobudziło i nie zaniedbała też użyć odpowiedniego ku temu celowi bodźca. Czuła dobrze, że taki człowiek tylko w chwilach bądź najwznioślejszego natchnienia, bądź największego rozdrażnienia, zdolny był wydobyć z piersi swoich owe szybkie jak błyskawica wzruszenia, które może jemu samemu nieświadomą głębokość uczuć zdradzały; zatem nie mogąc go już więcéj ożywić, postanowiła rozdrażnić przynajmniéj.

—Tem więcéj się teraz dziwię, panie Fernow, że pan, przy tak ciężkiéj pracy swojéj tyle drażliwości wrażeń zachować umiałeś; ależ prawda w marzeniach i w poezji, Niemcy zawsze daleko nas wyprzedzali!

— W dwóch rzeczach, które w uznaniu pani niezmiernie nizko stoją.

— Jestem przynajmniéj tego zdania, że człowiek do czynu, nie do marzeń jest stworzony. Wszakże poezja, to tylko bezczynne marzenie.

— Zatem pani pogardzasz nią?

— Tak jest! Jenny świadomą była zupełnie surowości z jaką to złośliwe tak jest, wyrzekła; lecz będąc wyzwaną, chciała ze swojéj strony przynajmniéj zranić przeciwnika, i zdawało się, że jéj się to rzeczywiście powiodło. Dziwna rzecz, on zniósł tak spokojnie, kiedy nauką jego pomiatała, a nie umiał znieść jéj napaści na poezję.

— Powinnabyś pani, rzekł profesor po chwili namysłu, mniéj chojnie szafować swoją pogardą; są bowiem rzeczy, które jeszcze więcéj na nie zasługują niż nasza poezja.

— Któréj ja nie pojmuję.

— Któréj pani pojąć nie chcesz, a która przecież tak samo praw swoich u pani się dopomni, jak ich się dopomniał kraj rodzinny, którego urokowi przed chwilą uległaś, wtedy właśnie, kiedyś go ciasnym i lichym nazywała.

Jenny oniemiała ze zdumienia i gniewu. Któż to nauczył tego człowieka, który w marzeniach swoich i roztargnieniu tak często o najprostszych, najbliżéj dotykających go rzeczach zapominał, kto go powtarzała sobie w duszy, nauczył tak głęboko zaglądać w jéj wnętrze, kiedy ona najmniejszą zmianą rysów nigdy nie zdradziła, co się tam działo? Kto mu pozwolił z taką oburzającą dokładnością odkrywać uczucia, do których się ona sama jeszcze nie przyznawała? Teraz dopiero, po raz pierwszy, ta trwoga jakiéj zawsze w obecności jego doświadczała, wyraźniejszy przybrała charakter; teraz zaczęła przeczuwać, że jakieś niebezpieczeństwo zagraża jéj ze strony tego człowieka, którego bądź co bądź, choćby nawet kosztem jakiéj obelgi, zdaleka trzymać od siebie powinna.

Miss Forest powstała z całą dumą swoją i zmierzywszy profesora od stóp do głowy, odpowiedziała: Żałuję mocno panie Fernow, że tym razem przenikliwość pana zawiodła go zupełnie. Co do moich sympatji i antypatji, sąd do mnie saméj tylko należy; zresztą upewniam pana, że nienawidzę wszelkich czułostek i marzeń, w jakiejby one nie były postaci, i że nic na świecie nie jest dla mnie tak wstrętnem jak bohaterowie pióra!

Wypadło tedy piorunujące słowo, i profesor, jak gdyby bolesną ranę otrzymał, zadrżał pod pociskiem tego szyderstwa. Lica jego żywym oblały się rumieńcem, a w modrych oczach mignęła błyskawica, któréjby się każda inna ulękła kobieta. Zdawało się przez chwilę, że na ustach Fernowa ważyła się już jakaś namiętna odpowiedź, lecz odwrócił się nagle i tylko ręką zasłonił oczy.

Jenny została nieporuszona; wola jéj została spełniona, ale w jéj duszy wszczęła się takaż sama burza jak wtedy, kiedy ją na ręku swojem unosił. Cóż daléj.

Po chwili milczenia Fernow zwrócił się znowu do niéj. Twarz jego była niezmiernie blada lecz spokojna; tylko w głosie jego słychać już było mniéj owéj miłéj dla ucha dźwięczności, jaką się w ciągu poprzedniéj rozmowy odznaczał.

— Zdajesz się pani zapominać, że nawet przywileje kobiety mają swoje granice. Jeżeli w towarzystwie, jak przypuszczam, pozwalają pani dla samolubnych, osobistych powodów, granice te przekraczać, to przypominam pani, że ja do tego towarzystwa nie należę i osobistych obelg nie znoszę. Mężczyznie inaczéj bym na nie odpowiedział. Co do pani,—zapewnić ją tylko mogę, że usilnie starać się będę, ażebym pani nigdy na mojéj drodze nie spotkał.

I ukłoniwszy się równie poważnie, zimno i dumnie jak młoda Amerykanka nielubionym przez siebie osobom kłaniać się umiała, zawrócił się i znikł za najbliższym murem.

(d. c. n.)

WIELOŚĆ
ŚWIATÓW ZAMIESZKIWANYCH.

STUDJUM

W KTÓRÉM ROZTRZĄSAJĄ SIĘ WARUNKI

ZAMIESZKALNOŚCI ZIEM

NIEBIESKICH

ZE STANOWISKA ASTRONOMII, FIZJOLOGII

I FILOZOFII NATURALNÉJ

PRZEZ

Kamilla Flammariona.

DZIEŁO

PRZEJRZANE PRZEZ **Elizę Orzeszkową.**

(Dokończenie).

Tę drugą Księgę swą, autor kończy zaproszeniem czytelnika, aby uniósł się myślą w jakiekolwiek miejsce niezmierzonéj przestrzeni a zapomniał całkiem jaka planeta życie mu dała. Czyliż tedy na widok olbrzymich a cudownych światów tak wspaniale toczących się przed nim, na widok ogromnego Jowisza z wieczną wiosną rozlaną po całéj powierzchni, Saturna ozdobionego dwoma ognistemi pierścieniami i otoczonego licznem gronem sattelitów—księżyców, Uranusa tak wielkiego jak cztery inne planety razem wzięte, czyliż na ten widok mógłby on przypuścić, że ta maluchna, drobna ubożuchna w obec swych królewskich sąsiadów Ziemia, jedynem jest życia siedliskiem, jedyną oazą na którą pośród martwych brył noszących z sobą pustkę i ciszę, rozlega się wspaniały hymn głosów żyjących i tryskają źródła świadoméj siebie myśli? Czy gdyby tak w przestrzeni zawieszonemu człowiekowi, dano do wyboru zamieszkanie na jednym z tych wędrujących w koło życiodawczego słońca planet. wybrałby on ubogą drobną ziemię, i czyżby raczéj nie zapragnął spuścić się na który z tysiąc razy, bogatszych i wspanialszy widok przedstawiających globów?

— Za całą odpowiedź czytelniku, pisze autor, ustanowimy, że Ziemia nie ma pierwszeństwa, żadnéj wyższości wydatnéj w systemacie słonecznym, aby sama tylko była światem zamieszkalnym, i że, astronomicznie mówiąc, inne planety są również dobrze jak ona urządzone dla pobytu życia.

Następuje księga trzecia zawierająca *Fizjologją istot*, opatrzona w dewizę wziętą od Arystotelesa: „Życie we wszystkiem". Kiedy bowiem w poprzedzającéj części swego dzieła, autor usiłował dowieść swym czytelnikom, że ziemia ani rozmiarami swemi, ani swem położeniem w systemacie do którego należy, nie odznacza się żadną wyłącznością mogącą zapewnić jéj jednéj tylko przywiléj zamieszkalności; to w następnéj księdze bierze on sobie za zadanie przedstawić niezmierną potęgę twórczą natury, dla któréj pierwiastki składające ciała niebieskie jakkolwiek różne od tych z jakich powstaje życie na Ziemi, nie mogą stanowić tamy ni zapory. Jak w całem swem dziele tak i tutaj nie dowodzi bynajmniéj autor, aby istoty żyjące na innych światach miały być podobne istotom ziemskim; i owszem przypuszcza w nich nieskończoną rozmaitość typów i organizmów, z których każdy powstaje i żyje w kształtach zastosowanych do bijologicznych (twórczych, życiowych) warunków, z których i pomiędzy któremi byt swój otrzymuje i rozwija. A że natura jest dość potężną i twórczą, aby podobnie nieskończoną i rozumowi ziemskiego człowieka niepojętą rozmaitość, na mnogich rozwinąć światach, dowodzi tego bogactwo różnobarwności i różnokształtów, jakie daje się widzieć w jéj państwie na naszéj, jakkolwiek drobnéj i ubożuchnéj w porównaniu z innemi niebieskiemi ciałami ziemi. Kto potrafi zliczyć, woła autor, stopnie téj drabiny życia, jaka się zaczyna od zwierzokrzewów z któréj najwyższy szczebel zajmuje człowiek? A w saméj ludzkości, czyż nie widzimy owéj podziwienia godnéj różnicy, w konstytucji ciała i w charakterach, obyczajach, zwyczajach, w sile fizycznéj i moralnéj, między Europejczykiem którego wola przekształca państwa, o Eskimosem co niezdolny jest własnéj myśli wyrazić?.... Jeżeli poczynając od kręgowych ssących aż do mięczaków i promienistych, przyjrzymy się z uwagą różnym gatunkom zwierząt co zaludniają ziemię, łatwo się przekonamy, ile to istot składem swoim wewnętrznym zastosowała natura do okolic i środków w których im żyć przeznaczono. Jeżeli obejrzemy również sto tysięcy gatunków roślin zdobiących powierzchnią naszego globu, jeszcze lepiéj przeświadczemy się o téj prawdzie, jak zadziwiająca potęga płodności udzieloną została każdemu atomowi materji.

A przecież i Ziemia nie zawsze też same co teraz posiadała warunki życiodawcze. Od czasu gdy skorupa jéj z roztopionych i ognistych materji złożona, zgęszczać się i ostygać zaczęła, przechodziła ona mnóstwo zmian z których każda przedstawiała odrębne chemiczne i fizyczne własności. W najpierwszéj epoce o jakiéj wiedzą geologowie i naturaliści, powierzchnia ziemi nie tak jak dziś ustalona, przedstawiała nierówności i ulegała częstym wstrząśnieniom przeszkadzającym życiu zwierzęcemu. Atmosfera różną była od dzisiejszéj bo składała się przeważnie z węglowego gazu, wydzielającego się z ostygającéj massy ziemskiéj, a pozbawioną zostawała tlenu bez którego zwierzę tak uorganizowane jak je dziś na ziemi widzimy, oddychać i żyć nie może. Zamiast więc zwierząt rozradzały się i porastały ziemię rośliny olbrzymie, jak np. Paprocie drzewiaste, których pień posiadał najmniej siedm stóp grubości, a obok tego w głębiach wód powstawały pierwsze okazy zwierzęce które zastępowały sobie tlen pierwiastkami chemicznemi w tychże zawartemi wodach. Następnie gdy mnogość roślin obrastających całkiem jeszcze wtedy bagnistą ziemię, środkami właściwemi roślinnemu życiu

utleniło powietrze, królestwo zwierzęce rozwijać się zaczęło poczynając od niezmiernie drobnych istot mogących żyć w bardzo wysokim stopniu ciepła, przechodząc przez różne odcienia i stopniowania *promienistych*, *polipów*, *skorupiastych* aż do olbrzymich jaszczur o jakich my dziś i pojęcia nie mamy, potwornych *skrzydłowców* o błoniastych olbrzymich skrzydłach, *ignanodomów* na sto stóp długich i innych podobnie ogromnych i poczwarnych, niemniej jednak zadziwiających swą organizacją zwierząt dziś przedpotopowemi zwanych. Od ich czasów aż do chwili, w której zjawił się ostatni ze stworzonych istot człowiek, w zwierzchniéj skorupie ziemi, w atmosferze, wklimatach panujących pod różnemi strefami, zachodziła nieskończona liczba odmian i przewrotów, a życie nie ustawało nigdy, i z różnych warunków życia powstawały różne, do nich organizacyą zastosowane istoty.

Ale i dziś czyliż ziemia podobnież wspaniałego a podziwu godnego nie przedstawia widoku? Jakaż ogromna zachodzi różnica pomiędzy naprzykład klimatem podzwrotnikowych krajów, w których pod skwarem słonecznym rozkładają się niezmierzone okiem piaszczyste, uroczemi oczami ustrojone stepy, odwieczne puszcze, pod same obłoki wznoszące się szczyty palm, cyprysów i cedrów, djamentowe kolibry błyszczącemi rojami fruwające w gajach z myrtu i pomarańcz, magnolije woń i rosę wylewające ze śnieżnych i wonnych kielichów, motyle o skrzydłach z purpury i lazuru igrające w powietrzu z promieniami słońca, węże olbrzymie grubemi splotami obwijające pnie potężnej grubości, a pomiędzy tem niesłychanem bogactwem natury, człowiek niby przytłoczony jej wielkością przechadza się nagi, wpółdziki, ciemno-skóry podobny do tych rozlicznych gatunków małp, co zmyślne i zwinne żyją w sąsiednich mu puszcz głębinach. Jakaż różnica pomiędzy temi podzwrotnikowemi stronami rozpalonemi słońcem, wrzącemi i kipiącemi życiem podniesionem do najwyższej na ziemi potęgi, a owemi mrocznemi i smętnemi krainami stref podbiegunowych, kędy słońce bladawe tylko i rzadkie spuszcza promyki, niska trawka nieśmiało rośnie, po stepach usłanych śniegem przebiegają stada strwożonych reniferów, kędy noce mają trwałość miesięcy a blady i drobnych kształtów Grenladcyk lub Syberyjczyk, wiedzie swe chłodne, bezsłoneczne istnienie?

Jakaż niezmierna różnica zachodzi pomiędzy warunkami, śród jakich żyją organiczne istoty na tych dwóch ostatecznych ziemi krańczynach! A od jednéj z tych ostateczności do drugiej, wieleż jeszcze zmian, różnych odcieni, stopniowań? Południe Europy ze swem lazurowem niebem i słodkim do poezyi i sztuk pięknych usposobiającym ludzi klimatem, zachód jej z mgłami okrywającemi zielone pola Anglji, i tchnieniem ożywczych wiatrów pobudzających energją Francuzów, środkowy jej pas nad którym blade wisi sklepienie, a którego umiarkowana temperatura i długie jesienie o smętnych widokach skłaniają umysł ludzki do rozmyślań i skupienia tworząc wielkich myślicieli, natchnionych wieszczów o tęsknej lutni, wszystkie te słowem strefy różne klimatyczne i bijologiczne posiadają własności, a żadna z nich nie pozbawioną jest przeto życia, tylko że w każdej życie to rozwija się trybem odmiennym, według stałego prawidła, że wszelki organizm ściśle zastosowany być musi do warunków z jakich powstaje i w jakich żyje.

A oprócz tych cudów i bogactw Natury widzianych na lądach, ileż innych rozwija się w wodach i powietrzu! W głębinach oceanów, jezior, rzek i strumieni, żyją mnogie gatunki źwierząt, płazów, mięczaków, poczynając od ogromnych rekinów i wielorybów, aż do mikroskopijnych istotek, których miljony mieści się w jednej kropli wody, od konchy w której głębi drzemie drogocenna perła zwierzokrzewu koralowego, zasnuwającego dno morskie siecią purpurowych gałęzi, aż do obrzydliwego głowonoga o śliskich i długich tasiemkach całe jego składających ciało, i fosforycznych żyjątek zmieniających fale morskie w błyszczącą pianę. W powietrzu taż sama rozmaitość i płodność. Orły szybują pod obłokami a wkoło nas, w niewidzialnych nam rojach krążą nieprzeliczone mirjady mikroskopijnych żyjątek; żyjątka te tak drobne że tysiąc miljonów ich okazów nie dorównywa w objętości jednemu ziarnku piasku, jakkolwiek na pozór słabe swą niepodobną do określenia małością, znajdują się wszędzie, we wszystkich strefach i klimatach ziemi tylko w coraz innych gatunkach i kształtach. Pod samym biegunem północnym, tam gdzie wszelkie życie wydaje się skrzepłem i zmarłem od zimna, naturaliści podróżnicy znaleźli do stu odrębnych gatunków wymoczków, to jest mikroskopijnie tylko dających się dostrzegać stworzeń.

Każdy zaś gatunek, każda jednostka należąca do tego nieskończonego szeregu istot ożywionych, taką jest zaopatrzona organizacją, jaka najlepiej przysługiwać jej może w warunkach jakich się znajduje. Tak np. Węże, alligatory żyją i rozradzają się w bagnistych miejscowościach, których wyziewy zabójcze są dla innych zwierząt. Orły zakładające swe gniazda na niebotycznych górach i skałach, pośród atmosfery której rozrzedzenie wzmaga rażący blask słońca, posiadają przyrząd oczny z pomocą którego bezpiecznie w ten blask się wpatrują. W głębinach wód kędy człowiek nic śród ciemności ujrzećby nie mógł, ryby żeglują i poruszają się swobodnie kierowane wzrokiem sobie tylko właściwym. Z podziemnych jeziór gdzie wieczna panuje ciemność, i w których przyrząd wzrokowy na nic by istniejącym tam stworzeniom potrzebny nie był, wydobywano okazy ryb i jaszczurek całkiem nie posiadających oczu.

Co więcej, zjawiskem w które z trudnością przyszłoby wierzyć, gdyby nie popierały poważne świadectwa uczonych, na najmniejszych z dostrzeżonych dotąd istot, żyją niby pasożyty inne istoty czerpiąc z nich warunki swego istnienia, a płodność ich jest tak niezmierną, że każda z nich w ciągu dni czterech wydaje na świat *150 milijardów* indywiduów tegoż gatunku! Sama ta zwierzchnia skorupa ziemi po której stąpamy, rozkłada się pod naszemi stopami niby olbrzymia mogiła pełna szczątków żyjących niegdyś, nieprzeliczonych stworzeń i dająca niemi świadectwo żadną granicą niezakreślonej twórczości natury. W różnych pokładach ziemi geologowie znajdują skamieniałe organizmy istot, co przez wieki żyły w wodzie i powietrzu, a potem ciałami swemi utworzyły całe łańcuchy gór, całe szerokie warstwy gruntu. Tak naprzykład w jednym calu pewnego gatunku ziemi, znaleziono *czterdzieści tysięcy miljonów* skamieniałych żyjątek zwanych *Galionellami*, w innym 1, 800, 000 milijonów skorupek rdzawych.

„Gdzież więc znaleźć kres ostateczny płodności natury? pyta autor; jakim sposobem ograniczyć jéj potęgę twórczą tem biednem naszem mieszkaniem, skoro wiemy że życie *powszechne* jest jej dewizą. Natura zna tajemnicę wszystkich rzeczy, używa do swych działań sił najmniejszych, równie jak najpotężniejszych, tworząc istoty według epok, gdy ani jedne ani drugie nie mogą stawić zapory objawom jej potęgi!

Z tego więc wszystkiego wynika, że twórczość Natury nie znająca na ziemi żadnych przeszkód i zapór do rozwoju swej działalności, może a nawet musi ich nie znać i na innych światach, tembardziej że wnosząc ze wszystkiego co o tych światach wiemy, warunki ich bynajmniej nie są mniej przyjazne rozwojowi życia niż te, których ulega olbrzymia rozmaitość ziemskich istot. Nieskończoność pod nami i nad nami! woła Flamarion. Nieskończoność pod nami rozkładająca się w widoku miljonowych gatunków i odcieni niezliczonych żadną cyfrą indywiduów ożywionych tworów téj ziemi; nieskończoność nad nami błyszcząca również nieprzeliczonemi mirjadami ciał niebieskich, rozsianych na przestrzeni, któréj krańców ani oko ludzkie dojrzeć ani umysł człowieczy domyśleć się nie zdoła.

Ku téj więc drugiéj nieskończoności ukazującéj się naszemu oku w postaci kulistego sklepienia, ustrojonego w roje złotych iskier, które gwiazdami zowiemy, prowadzi nas Autor w czwartéj swéj księdze noszącéj nazwę: *Niebiosa.*

Tu przedstawia się czytelnikowi obraz, według słów autora najwspanialszy jaki podziwiać mogą oczy nasze, widok najokazalszy jakiego dano być świadkiem człowiekowi, widok *ogromu niebios.*

Świat planetarny czyli system słoneczny do którego ziemia nasza należy, jakkolwiek posiada siedm miljardów mil obwodu, jest tak drobną cząstką nieograniczonéj przestrzeni, że niepodobna nawet znaleźć dla względnéj jego małości miary porównania. Światy i rozległości odkryte przez astronomję planetarną, zajmującą się badaniem naszego słonecznego systemu, niczem są obok tych, jakie dostrzega astronomja gwiazdowa sięgająca po za granicę państwa nad którem nasze słońce panuje. Każda z gwiazd widzialnych na niebie jest słońcem, które własnem błyszczy światłem, a wzajemne ich odległości są tak wielkie, że dla ich określenia nie używa się już mil ani tysięcy mil, ale za jedność bierze się promień drogi jaką odbywa ziemia wokoło słońca, a jakiéj długość wynosi mil 38,230,000.

Mierząc natężenie światła jakie do nas od gwiazd przybywa, dowiedziono, że wiele z nich widzialnych nierównie są świetniejsze i większe od naszego słońca. Tak np. gwiazda Syryusz jest tak ogromną, że gdyby słońce nasze było w tem samem co ona widziane oddaleniu, ukazałoby się jak drobna zaledwie trzeciéj wielkości gwiazdka.

Najbliżéj do systemu naszego położona gwiazda, jest odeń odległą o 226,400 promieni drogi ziemskiéj czyli o 8,603,200,000,000 mil. Odległość wyżéj wspomnianego Syryusza stanowi 52 trylliony mil, innéj jeszcze gwiazdy 73 trylliony, innéj jeszcze 170 tryllionów, a są to wszystko gwiazdy najbliższe już przy nas położone i bardzo niedalekie nasze sąsiadki w porównaniu z oddaleniem innych, którego żadne dotąd wyliczenie zmierzyć i określić nie zdołało, a na którego zresztą określenie brakuje cyfr w matematyce i miary w pojęciu ludzkiem.

Wszakże jakkolwiek było to trudnem, uczeni badacze potrafili wynaleść środek z pomocą którego dają nam przybliżone wyobrażenie o względnych do naszego systemu położeniach gwiazd dalszych niż te, z któremi dzielą go tylko setki tryllionów mil. Dopełnia się to za pomocą wyliczenia, w jakim przeciągu czasu światło od tych gwiazd przybywa do nas. Otóż wiadomo, że światło przebiega na sekundę 70,000 mil a w téj postępując mierze od najbliższéj sąsiadki naszej gwiazdy Centaury, dosięga ona ziemi w przeciągu trzech lat i ośmiu miesięcy: od Syryusza wędruje do nas przez 22 lata; od Kozy 72, a od ostatnich dających się spostrzedz najdoskonalszym teleskopem, przebywa swą drogę w przeciągu 1,000, 5,000, 10,000 i 100,000 lat: dążąc ciągle z szybkością 70,000 mil na sekundę. Tak że gdyby naprzykład Syryusz został zniszczony przez jakąś katastrofę, i zniknął całkiem z przestworza, to przez 22 lat po jego zniknięciu, oko ziemskiego mieszkańca widziałoby go jeszcze na firmamencie, czyli raczéj widziałoby jego promieniowanie, dążące ku ziemi przez wiele lat po zagaśnięciu źródła z którego wyszło.

Dziwne zdumiewające zjawiska dają się spostrze-

gać w tym bezgranicznie wielkiem państwie gwiazdowem, tak mało przystępnem badaniom człowieka. Spostrzegano, że blask niektórych gwiazd zmniejsza się i zwiększa z kolei, są takie które z pierwszéj wielkości przechodzą do trzeciéj czwartéj i niżéj, a po pewnym upływie czasu znowu do swéj uprzedniéj świetności wracają. Widywano inne które ukazawszy się znagła na horyzoncie, świetnieją na nim przez pewną krótką porę i znikają aby już nigdy nie wrócić. Inne jeszcze wydają z siebie światło kolorowe mieniące się w purpurowe, białe lub żółte barwy, niby odmieniające królewskiego bogactwa szaty.

Astronomowie ze wzrokiem uzbrojonym w pomocnicze nauką wynalezione narzędzia, z duchem przejętym podziwem i uroczystością, przypatrują się tym kolejnym przygasaniom i rozpalaniom się, konaniom i kameleonowym grom światów rojami wiszących i poruszających się w przestworzu;—ale coby oznaczały te fenomena, jakichby przyczyn były skutkiem i jakich następstw przyczyną nie wiedzą. „Umysł ludzki ma granice, przestrzeń ich nie ma "mówi Flamarion.

Ilość gwiazd widzialnych gołem okiem i przez teleskop wynosi 100,000,000 a każda pojedyncza z tych stu miljonów gwiazda, jest słońcem posiadającem system planetarny podobny naszemu, podwójny niekiedy i potrójny, ale planety składające te systemy umykają zupełnie naszemu wzrokowi.

Wszystkie zaś słońca te tworzą oddzielne gruppy czyli *Mgławice*, do jednej z których należy nasze słońce stanowiące wraz z planetami swemi bardzo nie znaczną jej cząstkę. Długość bowiem przestrzeni na której rozciąga się ona, zawiera 52 tryljony i 400 biljonów milometrów.

Myliłby się jednak ktoby sądził, że Mgławica ta do której należymy, tak obszerna, tak zamożna w słońca i w niedojrzane ale niezliczone i z udowodnionem istnieniem zależne od nich planety, jest jedyną albo do małej liczby innych należącą grupą. Przepaście niebios zawierają mnóstwo grup podobnych a z których ostatnie widzialne nam są tak odległe, iż światło od nich zaledwie po wielu miljonach lat przybywa w okolice przestrzeni, w której znajduje się nasza *mgławica* a śród niéj nasze słońce wraz z nami.

Ostatnie te mgławice ukazują się nam w postaci białawych i niewyraźnych obłoczków, a daléj wzrok nasz nic już ujrzeć nie zdoła.

Ale tam gdzie zatrzymuje się oko ludzkie, wsparte nawet najpotężniejszą pomocą optyki, rozwijają się utwory jeszcze wspanialsze i bujniejsze, i gdzie polot naszych pojęć strudzonych ustaje, natura niewzruszona i powszechna rozwija bez końca swój majestat i ozdobę. Wszędzie po za ziemią, po za przestworzem gdzie ginie wzrok zdziwionych śmiertelników, po za niebiosami niebios, taż sama przestrzeń ciągnie się zawsze odnawiając. Po przestrzeni następuje przestrzeń, po rozległości rozległość; władza twórcza rozwija tam jak i tu, ten sam wir niepojęty życia i nieustannie po krainach bez granic, następują po sobie słońca i światy. Możemy w taki sposób postępować do nieskończoności. Po za granicami najodleglejszemi jakie tylko nasza wyobraźnia, posuwając się bez ustanku może wskazać tej dziwnie płodnej naturze, taż sama natura istnieje zawsze, bez żadnego możebnego końca, i do nieskończoności znajdować będziemy jeśli nie odnawianie się światów pełnych bogactwa i życia, to przynajmniéj przestrzeń bez granic gdzie te wspaniałe kwiaty niebios powstawać i rozwijać się mogą. Jest to państwo Boga samego, którego nie znajdziemy granic choćbyśmy żyli całą wieczność aby posunąć nasze badania, nad wszelki wyraz możebny.

Temi słowami kończy Flammarion czwartą księgę swego dzieła, do piątéj zaś my nie pójdziemy za nim, albowiem nie znaleźlibyśmy w niéj ani tak żywego jak w poprzedzających interesu, ani tak dobitnych i przekonywających dowodzeń popieranéj idei. Ta piąta księga nosząca tytuł *Ludzkość we Wszechświecie* i mająca zawrzeć filozoficzne wywody teorji zamieszkalności światów, jest najsłabszą i najmniéj pouczającą częścią całego dzieła. W większéj swéj połowie składa się ona z powtórzeń mglistych i fantazyjnych bajek we wszystkich czasach układanych o mieszkańcach innych planet, z również mglistych abstrakcyjnych wywodzeń filozofiznych i długich, kwiecistych lecz mocno skażonych deklamacją ustępów.

Najżywotniejsza treść dzieła, essencja, jego dusza sama zawiera się w trzech środkowych księgach i te są przepyszne. Wdzięcznym i jędrnym napisane językiem, pomimo wielkiéj ilości nagromadzonych w nich naukowych faktów i cyfr i nazwisk, tak są jasne i przystępne, że każdy średnio ukształcony umysł pojąć je może i przywłaszczyć sobie zawarte w nich wiadomości.

Porywają one ducha czytelnika daleko od spraw codziennych, rozszerzają mu umysł, ożywiają wyobraźnią obrazami wzbudzającemi zachwyt i zdumienie, roztaczają przed nim słowem te dwie niezbadane, nieograniczone, niepojęte a cudownie wspaniałe i niezrównanie świetne nieskończoności, pierwszą co otacza nas na ziemi milijonowo-barwnem i milijonowo-kształtnem bogactwem ziemskiego życia; i drugą która wisi nad nami w przestworzach bez granic, w rozłogach nieścignionych zmysłami, nieogarnionych pojęciem a zasianych słońcami, światami, gwiazdami w większéj ilości, niż ilość ziarn która w porze siejby spada na łany ziemskiego rolnika.

Na widok téj bezgranicznie potężnéj twórczości natury i téj niepojętéj a nieskończonéj olbrzymiości wszechświata, czytelnik pochyla głowę z pokorą i mimowoli wyznaje wraz z autorem dzieła, że nasza drobna i ubożuchna ziemia, nie może sama jedna posiadać przywileju na to najwyższe dobro i piękno jakiem jest życie, że życie to w coraz innych zapewne formach i typach, ale nieustające nigdy i niczem nie zatamowane, rozlewać się musi w całem państwie twórczéj ręce podległem, i że martwość, śmierć i wieczne milczenie panować nie mogą na tych światach niezliczonych, które wspaniałe i świetne swe globy toczą w przestrzeni w porządku i ruchu niezmąconym przez wszystkie wieki.

Być może zresztą, że pojęcie o zamieszkalności światów długo jeszcze albo i na zawsze pozostanie hypotezą świetną i zajmującą każdy umysł, dążący do ideału, ale nie sprawdzoną bezpośredniemi obserwacjami i dotykalnemi faktami. Z tem wszystkiem jednak, ten kto z uwagą i skupieniem zatrzyma myśl swą nad obrazem skreślonym przez wielkiego uczonego i myśliciela, jeżeli nie zawędruje na Jowisza lub Syryusza w poszukiwaniu podobnych sobie istot, to już pewno odbędzie podróż nadpowietrzną, w której ze zdumieniem i zachwytem ujrzy najpotężniejszą wielkość i najwyższą piękność.

A nie należy mniemać, aby chwile spędzone na przypatrywaniu się temu co nam niedostępne, bezpłodnemi być miały, ani pragnień i zachwytów poważnego lecz i gorącego umysłu który spragniony ideału, szuka go po ziemi i niebie, mięszać z próżnem marzycielstwem wzbijającem się w mgłę i obłoki bez rozsądnego celu i prawdziwego uczucia. Poszukiwanie ideału, pragnienie go i odgadywanie we wszelkich zjawiskach zewnętrznego i wewnętrznego świata, jest najpiękniejszą właściwością człowieka, przymiotem jego dziecięcym może, niemniéj jednak tym który czyni go człowiekiem, stanowczą linją odkreślając go od reszty istot organicznych ożywionych, częstokroć obdarzonych sporą dozą rozumu i uczucia, ale ograniczających się na ścisłem kółku zjawisk najbliższych, na zwierzchniéj niejako formie i dotykalnéj użyteczności małéj liczby tych zjawisk, a do wzniesienia się wysoko i zapuszczenia wzroku w głębią rzeczy niezdolnych.

Mylnem by także było mniemanie, że takie odwracanie myśli od tego co nas zbliska otacza, do widoków i pojęć zaledwie dających się dostrzedz zmysłem wzroku i objąć siłą umysłu, osłabić w czemkolwiek może praktyczną, codzienne sprawy nasze na celu mającą działalność. Są ludzie którzy ciasną metę zakreślają dla oczu, serc i myśli swych współbraci z obawy, aby nie zbłąkały się w odległych podróżach i miejsca na jakiem stać i działać powinny nie opuściły. Dzieje się to nieraz w skutek samolubnych wyrachowań, bynajmniéj nie mających na względzie cielesnego ni duchowego dobra tych nad któremi, rozciąga się fizyczna lub moralna kuratela, a często także przez ciemnotę wyobrażeń, własną miarą mierzącą wszystko co istnieje, lub ciężkość umysłową które przejęte na wskróś zdrowiem przyrastają do jednego powziętego wyobrażenia jak kamienie do ziemi. Dla takich ludzi myślenie o tem czego zmysłami dotknąć i ująć nie można, pragnienie tego co nie przedstawia się w formie niezbitego pewnika, jest mrzonką, niweczącą trzeźwe i zdrowe siły człowieka. Jestto błąd w który nie popadnie żaden realista dobréj wiary i rozumny jakkolwiek krańcowym byłby realistą, bo realizm w szerokiem i szlachetnem zrozumiany znaczeniu, jest doktryną liczącą się ze wszystkiemi w rzeczywistości istniejącemi objawami, i dążący do zadość uczynienia wszystkim rzeczywiście istniejącym potrzebom. Cóż zaś może być rzeczywistszego i prawdziwszego jak to, że im większe bogactwa uczuć człowiek zawiera w sobie tem silniéj kocha, im większe kręgi pojęć obejmuje tem więcéj myśli, a im silniéj kocha i więcéj myśli, tem lepiéj wytrwaléj i skuteczniéj działa. Bądźmy realistami jeśli w tym kierunku chyli umysły nasze prąd wieku i potrzeb jego, pracujmy każdy w zakresie swym choćby zakres ten był maluczką piędzią ziemi, nie rzucajmy marzeń naszych w obłoki na wzór znudzonych próżniaków naiwnych dziewcząt, patrzmy trzeźwo na świat ziemski ceniąc go ile należy i starając się go zrozumieć. Ale zarazem nie niszczmy w sobie zmysłu uwielbiania, który jest źródłem wielkich natchnień z jakich stało się wszystko co na ziemi stało się wielkiego. Nie omijajmy z lekceważeniem żadnéj wielkości i żadnéj piękności, w imię złe i ciasno zrozumianego utylitaryzmu; nie skuwajmy umysłów, serc i rąk naszych w wapienną ślimaczą skorupę. Na ziemi i niebie, w przestrzeni i czasie nie ma takiego punktu, na którymby źle było i szkodliwie zatrzymać wzrok cudowiekowi dążącemu do moralnéj i umysłowéj doskonałości, dowiadujmy się o wszystkiem, roztrząsajmy wszystko, kochajmy wszystko co godne kochania, bez skrypułów i niedorzecznego wstydu, uwielbiajmy wszystko co przedstawi się oczom naszym w królewskiéj szacie ideału. Takim tylko sposobem zdołamy pracę naszą uczynić szlachetną, bo podejmiemy ją z zapałem wykrzesanym z miłości i uwielbienia, a wykonamy z wytrwaniem podtrzymanem umiejętnością i silnemi przekonaniami. Takim tylko sposobem w maluczki choćby zakres działalności naszej i w ciasne granice gminy do której należymy, zmienimy tego szerokiego ducha obywatelskości i człowieczeństwa, bez którego wiele rzeczy wlec może leniwe i wegetacyjne istnienie, lecz nic się nie stwarza i nic zmartwych nie powstaje.

KONIEC.

Dodatek do Tygodnika Mód N. 16.

O ubiorach.

Z wielką radością witamy początek wiosny, która w tym roku obdarzyła nas wczesnem ciepłem i usunęła śniegi i błoto, tak trudne nieraz do przebycia.

W czasie dni pięknych, przy jasnych i ciepłych promieniach słońca, jakże już ciężkie wydają się owe kostjumy i okrycia zimowe, które przed kilku tygodniami jeszcze tak były dogodne. Dziś zrzucamy je co najprędzéj, bo nowa pora nowych wymaga ubiorów, w które też magazyny nasze zaopatrzone zostały obficie. Kto nie potrzebuje rachować się z wydatkiem znajdzie tam gotowy dobór okryć, kostjumów, kapeluszy, wachlarzy i parasolików wiosennych, dla osób jednak zmuszonych świeżość i elegancję połączyć z oszczędnością, małym kosztem mogą zadowolić wymagania mody, przerabiając nieco zeszłoroczne suknie.

Spódnice kostiumowe zaledwo dotykające ziemi, vêtement z nieodcinanym stanem, tiuniki i zgrabne kaftaniczki lub talmy i teraz będą noszone.

Peleryki przy okryciach szczególnéj używają wziętości, a najświeższą nowość stanowią kaftaniki bez rękawów z dodaną pelerynką.

Ponieważ mięszanie kolorów, odmiennych gatunków materji i deseni jest ciągle używane, łatwo więc można przez zmianę garnirunku, używany kostium odświeżyć lub z dwóch noszonych przerobić na jeden nowy. Suknię niezbyt zniszczoną odświeżyć można dodaniem nowego vêtement, a odrzuceniem wyszłéj z mody tuniki. Zawsze jednak i teraz pamiętać potrzeba, ażeby stanik lub kaftanik włożony przy odmiennéj spódnicy, był z tego co tunika materjału.

Co do materji wełnianych i jedwabnych to także w rodzaju wyrobu i deseniach małe zaszły zmiany, kolory nawet utrzymują się prawie te same. Popielate, brązowe, niewarowo-żółtawe, niektóre cienie zielone i bordo ciągle są modne; w opisie zaś trudno określić nowość zachodzącą w zmianie odcieni. Między najświeższemi kolorami jest: zielony rezedowy, szaro-popielaty i ciemno ognisto żółtawy.

Do garnirunków używane są frendzle, torsady szmuklerskie, wyszycia sznurkiem jedwabnym lub haft, plisy z tego co suknia materjału, aksamitu lub materji. Falbany a nawet brzeg gładkiéj tiuniki lub vêtement wycina się w zęby głębokie lub płaskie, okrągłe lub spiczaste i obejmuje wypustką odmiennego odcieniu albo aksamitną.

Do sukien strojniejszych zęby oszywa się wązką frendzlą lub wyszyciem ze sznura.

Materjały w paski ciągłéj używają wziętości w ten sposób: że czasem spódnica bywa w paski, a zwierzchnie ubranie z gładkiego materjału, a nieraz znowu przeciwnie. Większa część wyrabianych téj wiosny kostiumów jest zrobiona w ten sposób. Co do okryć, z tych najmodniejsze są rotondy czyli okrycia bez rękawów, tworzące długą pelerynę. Do niektórych to jest tych, które są zrobione z materjału w jednym kolorze, dodają kapturki ozdobione kwastem szmuklerskiéj roboty.

Inne rotondy bywają z materjałów bardzo ciepłych i miękkich w kolorach jasnych, oszyte do koła odpowiednich kolorów frendzlą, i takie rotondy noszą się na obie strony, zwykle jedna strona bywa jaśniejsza, a druga ciemniejsza.

Kapelusze niegdyś zwane zawiązywane pod brodą, dziś z dniem każdym stają się niepodobniejsze do opisania, gdyż kształt ich jest tak dziwaczny i dowolnie wykonany przez zręczne nasze modniarki, że właściwie każdy prawie magazyn robi je po swojemu, aby coraz dziwaczniéj i wyżéj kapelusz piętrzył się na głowie. Ozdobę kapeluszy tych stanowi główne kwiat wielki z gałązką spadającą na kok.

Kapelusze okrągłe bardziéj są noszone i o wiele wygodniejsze, zawsze one są jeszcze wysokie i wysoko przystrojone. Główki jak u zeszłorocznych cylindrów, a rondko małe gładkie nieco wygięte ku dołowi. Inne mają rondo zupełnie do koła odwinięte i te więcéj są do twarzy. Zwykle ubierają kapelusz w ten sposób, że się główkę otacza wstążką do koła, a całe główne ubranie, składające się z pęku piór i pukli wstążki, daje się na środku główki aby; połowa jéj od strony twarzy pozostała gładka, a połowa druga zupełnie pokryta ubraniem, które spada na kok po za kapelusz. Kwiatów dotychczas na okrągłych kapeluszach nie widać.

Parasolki na długich laskach, większe pół deszczowe, i małe oszywane falbankami pozostały bez zmiany.

Teraz opiszemy kilka sukien, któreśmy mieli sposobność oglądać przygotowane na uroczystość ślubną, a które za wzór dobrego gustu służyć mogą.

Suknia dla bardzo młodéj mężatki z białego „poult de soie". Spódnica powłóczysta otoczona bardzo szerokim wolantem, układanym i zaprasowanym w szerokie fałdy. Tiunika okrągły tworzy fartuszek z przodu, a z tyłu jakby bardzo szerokie szarfy, wszystko oszyte falbanką szeroką na ćwierć łokcia, zaprasowaną jak falbana u spódnicy. Stanik wycięty z „poult de soie" jasno niebieskiego koloru, z baskiną gładką tworzącą jakby gładki kaftanik z krótkiemi rękawkami, składającemi się z bufki.

Wycięcie stanika otacza berta z falbanki i koronki białéj.

Na głowę przeznaczone było ubranko z niezapominajek, różowéj róży i białéj kitki.

Suknia z „poult de soie" koloru fijołkowego. Spódnica długa, gładka, otoczona na łokieć nad obrębem wolantem z szerokiéj na ćwierć łokcia koronki białéj, którą przytrzymywał u góry rulon z aksamitu czarnego. Tiunika niewielka tworzyła bufę, otoczoną takąż koronką i przypiętą do boków spódnicy, za pomocą wielkich kokard z czarnéj szerokiéj aksamitki z końcami.

Stanik z baskiną, wycięty był z przodu kwadratowo; wycięcie to jak również obwód baskiny zdobiła odpowiednia koronka tylko znacznie węższa.

Rękawy nieco rozszerzające się od łokcia, dopełniał szeroki wolant z białéj koronki otoczony aksamitką i kokardą.

Suknia z różowego materjału zwanego Sultane. Spódnica oszyta pięć razy falbanką, ze stanikiem wyciętym z krótkiemi rękawkami. Tiunika bardzo suta z pięknego białego muślinu, w odstępach podpięta była kokardami z długiemi końcami z szerokiéj aksamitki czarnéj. Na wierzch stanika przeznaczona była pelerynka kwadratowa z muślinu nieco tylko roztwarta na piersiach oszyta koronką i zakończona na piersiach kokardą z aksamitki. Krótka aksamitna czarna szarfa dopełniała przybrania.

Dokończenie opisów dodatku arkuszowego N. 16 Tygodnika Mód.

N 13. Rozeta do bielizny.

Robota szydełkowa i ścieg koronkowy. Rozmiar odpowiedni N 11.

Kółko z 6—8 oczek, obrabia się 16 słup: przedzielanemi 1 pikotem. Drugi rząd składa się tak że z 16 sł: dawanych nad poprzedzającemi, tylko oprócz pikotów, dodane jest 1 o: po: z każdéj strony, Trzecie obrobienie stanowi 8 zębów, na które daje się 18 o: po: przyrabianych 1 o: ści:. Każdy z tych zębów obrabia się 6 o: ści:, 8 pi: z o:po: przyrabianemi ocz: ści:, zakończonemi 6 o: ścisłemi.—Nakoniec wrabia się kratkę.

N 14. Rozeta z nawijanemi pikotami do przyozdobienia bielizny.

Rozetę zaczyna się od 15 o: po. z których 8 ostatnich tworzy pentelkę, w 9 zaś początkowych, od góry na dół daje się 7 o: ścisłych. Gdy w taki sposób obrobi się w jednym ciągu 8 słupków z pentelkami, łączy je się w koło 1 o: ści: i obrabia pojedynczemi pikotami nawijanemi, sposobem następującym:* 3 o: po: 1 o.ści: pomiędzy dwa następne słupki, 3 o: po, 1 p. na który nawija się nitkę 6 razy koło igły, znów 3 o: po: przyrobione w ostatnie z 3 poprzednich; tym sposobem pikot zdaje się być w koło 6 o: po: otoczony. To powtórzyć 7 razy od *. Poczem wypada zamocować, uciąć nitkę i zacząć dalszą robotę od jednéj z pentelek górnych; tak w nią jak i wewszystkie następne, daje się 9 pikotów, nawijając na każdy 8—9 razy nitkę koło igły. W ostatnim rzędzie jest 80 takich pikotów, to jest po 10 przy każdym promieniu, które przyrabia się w dolne nitki poprzedzającego rzędu, wyciągane w ten sposób ażeby tworzyły pikoty.

N. 15. Kołdra pikowana w kwadraty, przyozdobiona aplikacją gwiazdek, z prześcieradłem dzierganem w zęby i przypinanem na guziki.

Gwiazdki, liście, lub inne arabeskowe figury, powinny być z materji tegoż co kołdra koloru, ale ciemniejszego odcieniu lub też w innym stosownie dobranym kolorze, przydziergane kordonkiem i wycięte. Prześcieradło wydziergane w duże 7 centy: szerokie zęby, złożone z 7 małych ząbków okrągłych; w każdym zębie daną dziurka do guzika.

N. 16 Poduszka odpowiednia kołdrze.

Poszewka ta zakończona jest zębami i na guziki zapinana. Tak do poszewki jak i do pierzynki poddaje się kolorową bufowaną materję pod zęby.

N. 17 Łóżko z materacem na sprężynach.

wałkiem, bogato haftowanem zwierzchniem okryciem i poduszeczką.

Ten rodzaj łóżek jest zwykle większych rozmiarów, ma bowiem 200

centy: długą, a 110 centy: szeroką dolną ramę. Odrobione masyw i starannie, odznacza się pięknemi snycerskiemi ozdobami; nogi są bardzo niskie a boki podłużne zakończone wysokiemi narożnikami. Na ramie licznemi opatrzonéj sprężynami, kładzie się dwa włosienne materace i włosienny wałek mający 21 centy: średnicy, który na długość powinien zajmować całą poprzeczną ścianę łóżka. Łóżko wraz z wałkiem, przykryte jest jednym, pięknie haftowanem prześcieradłem o 50 centy: dłuższem i szerszem od posłania. Haft daje się tylko z jednéj podłużnéj i poprzecznéj strony, które pozostają widoczne.

Okrycie wałka, sposobem na rysunku wskazanym, wymaga zręczności i wprawy, ażeby fałdy wachlarzowo były z boków zebrane, a cała powierzchnia obciągnięta gadko. Na bardzo szeroki obrąb, kratką zakończony, trzeba dopuścić w krajaniu. Stosownie do pory roku, do okrycia na noc, służą jedna lub dwie kołdry pikowe lub flanelowe, z których zwierzchnia powinna być ozdobiona szlakiem, fabrycznie tkanym, haftowanym, lub z mozajki jedwabnéj ułożonym. Na większe zimna można dodać puchową pierzynkę. Poduszeczka mająca 50—55 centy. w kwadrat, przyozdobiona jest takim samym haftem, jak prześcieradło; na środku wyhaftowane są ozdobne duże litery. Suto haftowane poszewki zdejmują się na noc.

N. 18—19. oraz N. 11—12 i 14 w N. 15. Ty. Mód.

Poszewki na małą poduszkę.

N. 18. Przedstawia poduszeczkę mającą 50 centy. średnicy, do któréj deseń podaliśmy w przeszłym numerze Tygodnika ryc. 12. Za tym deseniem dodany jeszcze szlaczek podług ryc. 14 w N. 15 Tygo., który powinien pojedynczo wystawać po za poszeweczkę Zapinanie urządza się od spodu, jak przy ryc, 12.

N. 19. Przedstawia poduszeczkę takich jak poprzedzająca rozmiarów, z dodanym w koło obrębem stębnowanym 4 centy: szerokim, za którym dany szlaczek haftowany, podług ryc. 11 w N 15. W krótce podamy więcéj deseni do tego użytku.

N. 20—22. Firanki do drzwi i okien w pokoju sypialnym.

Deseń w N. 15 Tygo. ryc. 23.

W górze przyszyte są do firanek brązowe obrączki, które założone na drążek, z łatwością mogą być przesuwane w tę i ową stronę. Firanki mogą być z takiego materjału, jak obicie mebli albo też z płótna niewarowego. Szlak wyszyty podług deseniu N. 23 w Tygodniku N. 15., przy firankach z brązowego rypsu, odrobiony jest na płótnie w pasy białe i popielate, białemi płaskiemi nićmi i czarnym jedwabiem. Białe środkowe gwiazdy mają obwódkę czarną, listeczki zachodzące na pas biały, są także czarne. Z brzegów szlak zakończony jest prążką z czarnego wełnianego sutaszu, a daléj już na tle firanki, naszyta biała pletnia przerabiana jedwabiem czarnym. Dla większéj elegancji można pod kolorowe poddać muślinowe białe firanki, zawieszone do oddzielnéj drewnianéj listwy, którą zwierzchni drążek zasłania. Wzór ładnego orzechowego drążka i rozety wskazuje r. 21—22.

N. 23. Rozeta do przyozdobienia poszewek.

Robota koronkowa na tle batystowem.

Powyższa rozeta przedstawia nowy rodzaj koronkowéj roboty, przy któréj tasiemeczka jest do tła batystowego lub do cienkiego nanzuku przyrobiona, nićmi płaskiemi świecącemi. Niektóre części deseniu są wycięte i kratką koronkową zarobione, w innych pozostaje tło batystowe.

Do téj roboty nadają się nawet tasiemeczki, wyrabiane zagranicą które do innych są za twarde. Sposób wykonania nie potrzebuje opisu, bo go dostatecznie oznacza rysunek.

N. 24. Rękaw do sukni lub paletota, z kokardą przepiętą klamerką.

Niezbyt szeroki, do łokcia rozcięty rękaw, przybrany jest wstawką koronkową, pod którą poddane jest powleczenie kolorowe lub białe. Brzegi koronki pokrywa pliska z materji; bok roztwarty oszyty jest frendzlą kręconą jedwabną. Przy łokciu dodana kokarda z rypsowéj wstążki, przepięta sprzączką lawową; koniec kokardy oszyty także frendzlą.

N. 25. Rękaw do sukni ubrany pasmanterją.

Prosto ukrojony kawałek 50 cen. długi a 16 centy. szeroki, z długich stron od środka ku brzegowi do 10 centy. okrągławo zwężony, z drugiéj w fałdy ułożony tak iżby miał tylko 18 centyme. przyszywa się do rękawa, mającego 42 centy. obwodu. Pod falbaną rękaw musi być wycięty. Pod jedwabną pasmanterją przerobioną perełkami. poddaje się czarną aksamitkę, przy frendzli dodane są także czarne perełki.

N. 26. Luźny paletocik przystrojony wyszyciem z jedwabnego sznura i aksamitną aplikacją.

Opis takiego paletota przedstawionego z przodu podaliśmy w przeszłym N. Tyg. pod ryciną N. 26.

N. 27. Kostjum „Julja".

Z lekkiéj, wełnianéj tkaniny, koloru jasno piaskowego, składa się spódnica i zwierzchnie długie ubranie ze stanikiem nie odcinanym z przodu i zapinanym na guziki. Plecy są gładkie odcięte od paletota, który w pasie zakłada się w głęboką kontra-fałdę; rękawy od łokcia szerokie. Plisy 6 cent. szerokie ściegiem łańcuszkowym wyszyte, stanowią garnirunek.

N. 28 i 29. Kostium z tuniką i kaftanikiem, zwany „Helena".

Przy sukni z jasno brązowego rypsu, dodany jest strojny garnirunek, złożony z ciemno brązowéj aksamitnéj plisy, wyszytéj dwoma cieniami kordonku, przy któréj na dwie strony dodanych jest 5 plisek jedwabnych razem 8 i pół centy. szerokości mających. Pliski te u dołu oszyte są wełnianą frendzlą, u góry ruszą 2 i pół centy. szeroką. Takiż sam tylko węższy garnirunek, powtarza się przy tunice i przy kaftaniku.

N. 29 podaje deseń wyszycia na aksamicie w naturalnéj wielkości.

N. 30—32. Pudełko na toaletę, przystrojone haftem i rozetami.

Materjał: pąsowy atłas, takaż wstążka dwa i pół centy: szeroka, czarna i biała koronka dwa cent: szeroka, białe sukno lub materja; popielaty i pąsowy kordonek; cienki złoty sznureczek; czarna cerata.

Okrągłe pudełeczko tekturowe, mające 14 centy: średnicy a 7—8 centy: wysokości, kupione gotowe i wyłożone wewnątrz kolorową, watowaną jedwabną podszewką, stanowi podstawę tej ozdobnej szkatułeczki. Na równem bez brzegów przykryciu, daje się wyściełaną poduszeczkę, pokrytą białem, haftowanem suknem. Haft odrabia się ściegiem łańcuszkowym, sznureczkowym i supełkami, kordonkiem pąsowym i brązowym, z dodaniem dla ożywienia sznureczka złotego. Pod monogram, haftowany złotem podaje się aplikacja pąsowego atłasu. Rozeta koronkowa odrobiona podług ry: 23, naszyta na kolorowej materyi, może być użyta w miejsce haftu. Pas pąsowego atłasu, 110 centy: długi a 7 centy: szeroki, u dołu w zęby spiczaste wycięty i koronką białą i czarną oszyty, stanowi falbanę, ułożoną w głębokie kontrafałdy i przyszytą riuszą z atłasowej wstążki. Na odstępach pomiędzy fałdami, naszyte są rozety z czarnego jedwabiu lub białych nici, odrobione podług N 31 lub 32.. Rozeta pod N 31 zaczyna się od kółka z 12 lub 14 o: pow., obrobionego o. ści., kółko to otaczają pikoty nawijane robione następującym sposobem. Na każdy pikot nawija się nitkę 10—12 razy, przeciąga jednym węzłem i przyrabia jednem oczkiem. Ostatni rząd obrabia się 24 pikotami, z o. po. przyrabianemi do piko. nawi. o. ścisłemi.

Rozeta pod N. 32 składa się z frywolitek i torsadki robionéj na widełkach. Zaczyna się ją od środkowego kółka z 15 węzłów na które potrzeba 5—do 7 węzłów pojedynczych, węzły te odrabia się z niezbyt cienkich kręconych nici, a w koło dodaje nieznacznie przyczepioną torsadkę, z bardzo cienkich nici, robioną na widełkach. Na zakończenie robi się szydełkiem w każde oczko torsądki 3 o. śc. zarzucając przy środkowem dla podwyższenia, nitkę na igłę. Środkowa kratka w rozecie robi się ściegiem koronkowym.

N. 33. Okrągły kapelusz wiosenny.

Czarny słomkowy kapelusz z wysoką główką, ma wązkie nieco w górę podwinięte rondko, objęte aksamitem z wypustką rypsową. Wstążka czarna rypsowa $8\frac{1}{2}$ centy: szeroka, a 104 centy długa, przypięta z lewego boku, opasuje główkę z przodu, z tyłu jest w kontra fałdy ułożona, a koniec zachodzi pod rondko z prawéj strony. Pod fałdy ze wstążki przyszyta jest biała marszczona koronka, mająca $7\frac{1}{2}$ centy: szerokości. Kawałek czarnego jedwabnego tiulu zfałdowany i broszą lawową przepięty, dopełnia ubranie przodu. Czarny tiulowy woalik 90 centy: długi, a 37 szeroki, przypina się sposobem na rysunku wskazanym, równie jak i długa spadająca na niego gałązka kwiatów. Oprócz woalika od prawéj strony, dodany jest jeden pukiel i drugi koniec z rypsowéj wstążki.

Nr. 34. Kapelusz do wiązania.

Główne przystrojenie białego bastowego kapelusza, stanowi kwadratowa woalka z czarnego koronkowego tiulu, mająca 70 centy: oszyta w koło koronką 6 centy: szeroką.

Ufałdowany jeden róg woalki. przykrywa kokarda z czarnéj 6 centy: szerokiéj aksamitki, i zachodzi aż na riuszę z białéj iluzji, podpiętą w diadem pod rondkiem z przodu. Daléj woalik pokrywa główkę i spuszcza się w sute wachlarzowe fałdy. Aksamitne szarfy do wiązania z tyłu, przechodzą przez woalik, na którym jeszcze przypięta jest duża gałęź róży.

Z przodu od lewéj strony na rondku dodany mały bukiecik.

N. 35. Chusteczkowy kołnierz i odpowiednie mankiety, oraz ubranie głowy ze wstążki i kwiatów.

Podstawę kołnierzyka stanowi krzyżówka z muślinu, któréj brzegi proste mają 68 cent. długości. Chusteczkę składa się we dwoje i podcina od góry, ażeby w środku na plecach i z przodu od dołu miała 14 cent. a przy ramionach $5\frac{1}{2}$ cent. szerokości. Okrągławy wykrój szyi dany jest w ten sposób, iż z obydwóch stron pozostaje po 49 cent. brzegu skośnego, i ten stanowi dalsze zakończenie przodów. Zewnętrzne proste brzegi, od końców ku górze wcinają się okrągławo na dwa cent. głęboko-ści. Dwie jedna na drugą zachodzące skośne pliski 2 i $\frac{1}{2}$ cent. szerokie, i 2 cent. szeroka wstawka koronkowa, pod którą wycina się muślin, a któréj brzegi pokrywa wąziutki haftowany szlaczek, stanowi zwierzchnie przystrojenie kołnierzyka. Koronka marszczona 4 cent. szeroka otacza zewnętrzne brzegi kołnierzyka, przy wykroju zaś szyi, koronka ma tylko $2\frac{1}{2}$ cent. szerokości. Odpowiednie rękawy mają 10 cent. szerokości a 28 cent. długości, prostego brzegu; roztwarte brzegi boczne, ścinają się na 2 cent. skośnie ku górze tak, że górna strona rękawka jest okrągławo podcięta, w środku o 2 c. zwężona, a następnie do rękawka sięgającego za łokieć przyszyta. Ubranie głowy złożone z czarnéj rypsowéj wstążki 5 cent. szerokiéj, którą najpierw owija się dyjadem ze sztywnego tiulu, drucikiem oszyty, 4 cent. szeroki. Do niego z prawego boku, przypina się kokarda z 8 pukli i 2 węzłów, przyozdobiona w środku gałązką kwiatu jabłoni. Dodana z tyłu pod wstążkę, elastyka, służy do ścisłego przytrzymania opaski.

N. 36. Kokarda do włosów ze wstążki i kwiatów.

Upięcie ze wstążki ciężkiéj rypsowéj 8—9 cent: szerokiéj z dodanym w środku w miejsce węzła bukiecikiem kwiatów, może być dodane do opaski, jak przy rycinie 35, lub bez tejże wpięte we włosy jak na rycinie 36. Kwiaty można dobrać w kolorze wstążki w odcieniu jaśniejszym lub ciemniejszym, albo też odmiennéj ale stosownéj barwy. Gust dobry najlepszym będzie w doborze kolorów przewodnikiem. Podana przez nas kokarda jest z ciemno pąsowéj wstążki, z jasno pąsowemi polnemi różami. Czerwonawy lub orzechowy kolor liści, domięszany powinien być zawsze do zielonych.

N. 37. Stanik wycięty i tunika z garnirunkiem z zębów i koronki.

Przy jedwabnéj jasno lila sukni, berta i tunika jest wycięta w zęby, oszyte plisowaniem z téj sàméj materji i białą koronką. Brzegi plisowania pokryte być mogą pliską, torsadką, albo haftowanym szlaczkiem. Garnirunek taki można zastąpić piękną irlandzką koronką. Szew 30 cent. długi łączy od góry krótsze z przodu, otwarte części tuniki, z brytami tylnemi, tylko o 15 cent. od powłóczystéj sukni krótszemi.

Zarówno przednie jak i tylne bryty tuniki, powinny być z boków zaokrąglone.

N 38. Vêtement, z grenadiny albo tiulu koronkowego.

Jako ładne dopełnienie ubrania, mogące nawet znoszoną jedwabną suknię odświeżyć, vêtement z jedwabnej grenadiny albo deseniowego tiulu, ciągłego używa wzięcia.

Wzór przedstawia niebieską jedwabną suknię, ze stanikiem pod szyję, wązkiemi rękawkami i spódnicą powłóczystą bez garnirunku. Tiulowe vêtement ma staniczek ubrany koronką w kształcie bretelek, rękawy szerokie spódnicę szeroką koronką garnirowaną i zręcznie podpinaną. Przy szerokiéj tiulowej szarfie, dodana jest w środku kokarda z czarnéj aksamitki. Przy kołnierzyku i mankietach z białéj koronki, przepasana jest także aksamitka.

Opisy do N. 15.

N. 26 i 5—9. Kaftanik z pelerynką ozdobiony haftem. Kaftanik z czarnego kaszmiru dopełniony zgrabną pelerynką i przyozdobiony haftem kolorowym, może być skrajany podług formy N. XIII (paltot) Fig. 42—46 i N. XIV (peleryna) Fig. 47. Peleryna do dzisiejszego modelu jest nierozcinana i liczy 27 cent. z przodu i 28 cent. z tyłu. Piękny haft, odrobiony łańcuszkiem płaskim i luźnym ściegiem, jednym cieniem





N. 1. Ubranie dla małej dziewczynki. N. 2. Ubranie dla małego chłopczyka.



N. 3. Sukienka ze stanikiem z baskiną dla małéj panienki. Przód do N. 4.

N. 4. Sukienka ze stanikiem z baskiną. Plecy do N. 3.

lub kolorami, łatwo daje się ułożyć z pojedynczych części podanych pod N. 5—9.

Arabeski (N. 7) haftowane złoto-żółtym jedwabiem i linje proste białym jedwabiem, ściegiem łańcuszkowym, ozdobione są gwiazdkami i muszkami kolorowemi. Małe bukieciki (N. 8 i 9) o zielonych korzonkach i listkach są naprzemian lila, żółte, niebieskie i pąsowe. Wązkie ząbki z pojedynczemi rzucikami podług ryciny 5 lub 6 ozdabiają przedni gładki brzeg peleryny. Dół paletota oszyty jest wiązaną frendzlą z czarnego i kolorowego jedwabiu, 6 cent. szeroką.

N. 27. Ubranie spacerowe z tuniką i stanikiem z baskiną. Garnirunek sukni z ciemno brązowego kaszmiru, składa się z trzech rzędów plis po 6 cent. szerokich, ozdobionych bogatem wyszyciem z czarnego sutaszu i dwóch arabesek po 30 cent. wysokich, a 19 szerokich wyszytych na bokach. Plisy do baskiny i tuniki, oszyte oprócz tego frendzlą wełnianą i przybrane wzdłuż przodu szmuklerskiemi agrafkami, są 4 i pół cent. szerokie. Bryty przednie tuniki, podpinanéj z tyłu, liczą po 65 cent. brzeżnéj, a 58 bocznéj długości, szerokości zaś 63 cen. u dołu, a 19 cen. w górze. Prosty środkiem rozcięty bryt tylny, jest w środku 85, z boków po 56 cent. długi, szeroki 140 centymetrów. Boki skrócone są do 26 cen t. długości, przez ułożenie fałdów na szwie. Stanik z baskiną zapinany z przodu na guziki, ma rękawy u dołu 90, w górze 62 cent. szerokie, nad łokciem w trzy głębokie, schodzące się do siebie fałdy założone i zaszyte, a z wierzchu plisą sutaszem wyszytą przewiązane i także kokardą z końcem przybrane. Z tyłu w pasie przypięta szarfa, ułożona jest







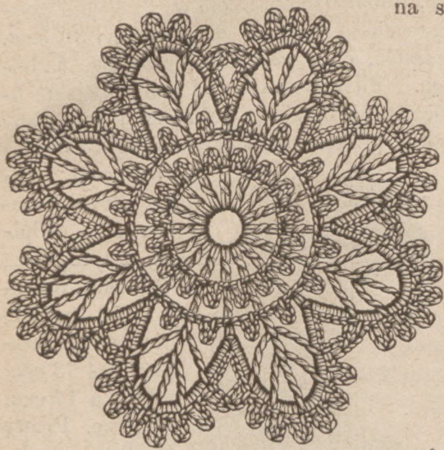
N. 7. Uczesanie z warkoczami i loczkami. Przód do N. 8.

N. 5. Uczesanie z podwójnem odwinięciem i warkoczem podane z przodu do N. 6.

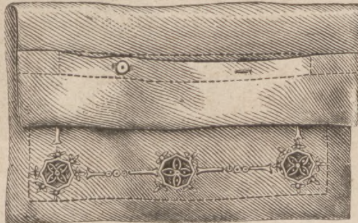
N. 8. Uczesanie z warkoczami i loczkami, podane z tyłu do N. 7.

N. 6. Uczesanie z podwójnem odwinięciem warkocza do N. 5 podane z boku.

także z plisy sutaszem wyszytéj i frendzlą zakończona. Na plecach przy wykroju szyi, wyszyta półarabeska w podobnym rodzaju, jak na spódnicy z boków.

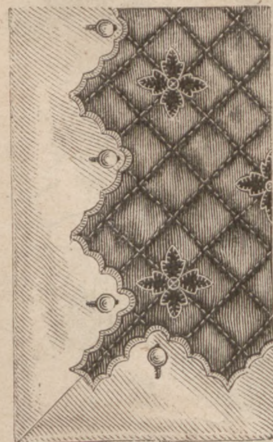

N. 13. Gwiazdka szydełkowa do przyozdobienia poszewki. Patrz N. 11.

N. 28. Suknia domowa z tuniką i karoczkiem przypinanym. Ubranie to odszyte z cienkiego wełnianego materjału ma garnirunki z falban 6, 12 i 30 cent. szerokich, z brzegów u dołu wyciętych w zęby, u góry prostych i objętych jedwabną wypustką tegoż koloru. Tunika składa się z przedniego brytu, na bokach ściętego skośnie, zaokrąglonego u dołu, połączonego w sposób na rycinie oznaczonym, z tylnym brytem zupełnie prostym wysoko podpiętym i liczącym 130 cent. szerokości, a 100 centym. długości. Kokardy ze wstążki koloru odpowiedniego, oszycie falban rypsowe lub jedwabne, złożone z pukli i długich końcy, bufują tunikę na bokach.


N. 19. Poszewka z przystębuowanym brzegiem. Patrz ryc. 13 w N. 15 Tyg. Mód.

Opis do N. 16.

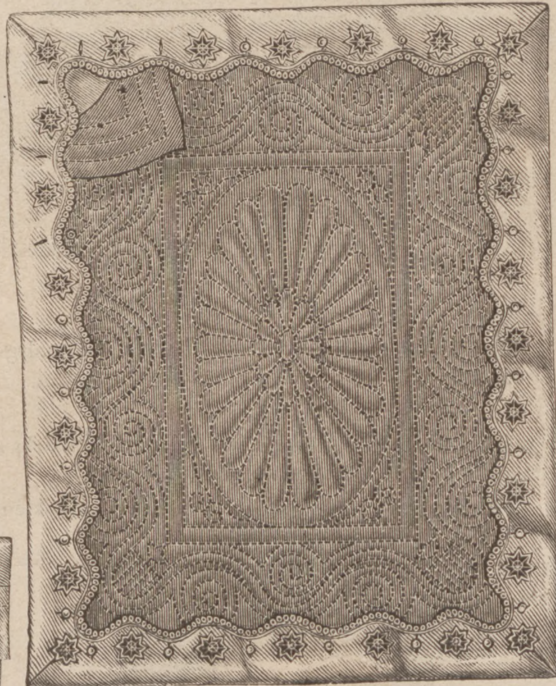
N. 1. Ubranie dla dziewczynki. Podana przez nas ładna sukieneczka z popielatéj piki, składa się z przedniego bryta ściętego skośno, 40 cent. szerokiego u dołu, a 18 u góry. Każdy z dwóch bocznych klinów przyszytych do przodu, liczy 26 dolnéj i 12 cent. górnéj szerokości, nakoniec bryt tylny prosty ma 28 cent. szerokości. Długość spódniczki wynosi 36 cent. Zupełnie prosty gładki staniczek, z krótkiemi rękawkami, ma dodaną 5 cent. szeroką bertę. Karoczek składa się z dwóch gładkich zaokrąglonych części przednich, z jednego brzegu po 6 z drugiego po 9 c. długich i z części tylnéj, ułożonej w fałdy 19 c. długiéj, 40 szerokiej, w górze zakończonéj kokardą. Kokardy, karoczek, berta i rękawki są wycięte w okrągławe zęby i odpowiednio spódniczce zakończone obszyciem. Oszycie to składa się ze szlaczka białego, dzierganego na batyście i z ząbków pąsowych wełnianych.

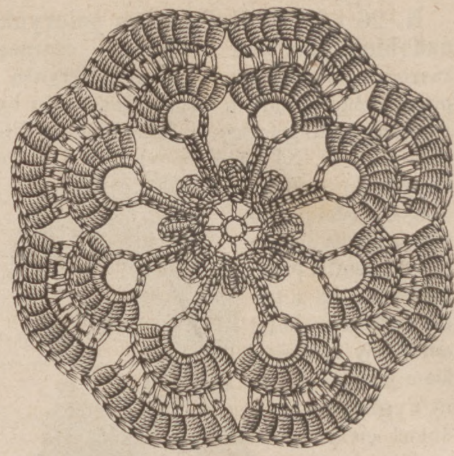

N. 15. Pikowana kołdra ozdobiona przydzierganym rzucikiem i prześcieradło w zęby.

N. 2. Ubranie dla małego chłopca.

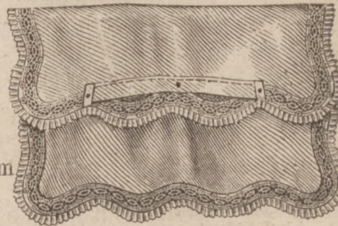
Garnirunek do bluzki, przepiętéj 4 cent. szerokim paskiem i majteczek krótkich, z szafirowego sukna, składa się z czarnéj wełnianéj plecionki 1 i pół cent. szerokiéj, oszywającéj brzegi ubrania i patek przednich i z czarnych rogowych guzików do zapinania bluzy. Garnirunek u dołu bluzki naśladuje długą kamizelkę.

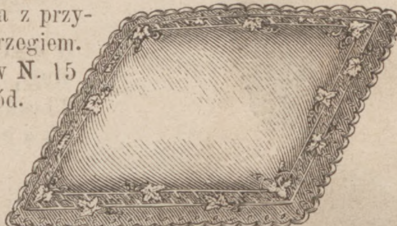

N. 9. Lekka puchowa poduszka (Plumeau).

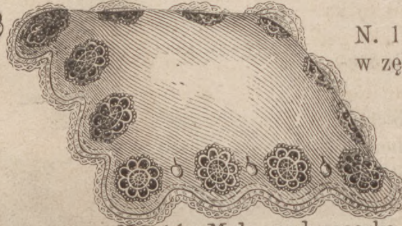

N. 10. Kołdra pikowana z przypinanem prześcieradłem. Patrz ryc. 15 w N. 15 Tyg. Mód.


N. 14. Gwiazdka szydełkowa z nawijanemi węzłami do przyozdobienia poszewki Patrz N. 11.

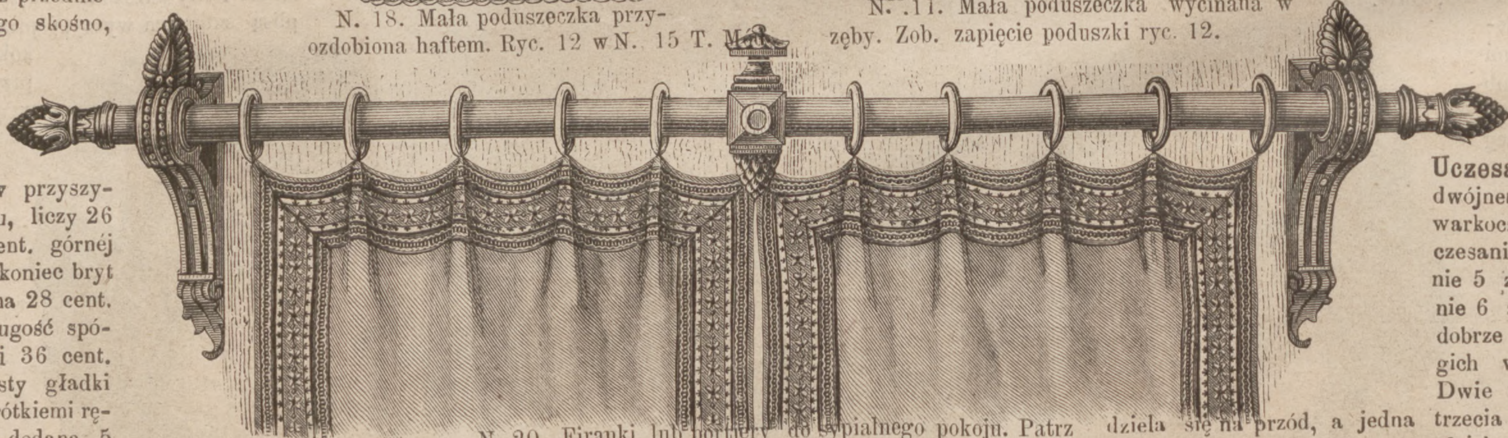
N. 3–4. Staniki z baskiną dla małych panienek. Całą różnicę staników podanych pod. N. 3 i 4 stanowi garnirunek, który dodaje się na dobrze dopasowanym na podszewce staniku. Taki rodzaj stanika służyć może i dla starszych osób. Stanik podany z przodu, na rycinie 3, ma garnirunek z szerokich plis, przybranych wyszyciem ze sznura, od góry zakończonych riuszą z takiegoż materjału 2 i pół cent. szeroką, u dołu oszytych kręconą wełnianą frendzlą. Wązkie rękawy dopełnia szerokie wyłożenie. Przy staniku N. 4 dany garnirunek, z trojakich plis, które ułożone z ciemnego aksamitu, z materjału sukni i jasnéj materji, cieniują się ładnie. Riusza z materjału sukni; takiegoż koloru jest i oszycie z frendzli wełnianéj. Szerokie rękawy przefałdowane są u dołu pod kokardą.


N. 12. Poszewka przyozdobiona w zęby wstawką i falbanką plisowaną lub koronką.

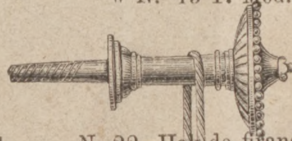

N. 18. Mała poduszeczka przyozdobiona haftem. Ryc. 12 w N. 15 T. Mód.

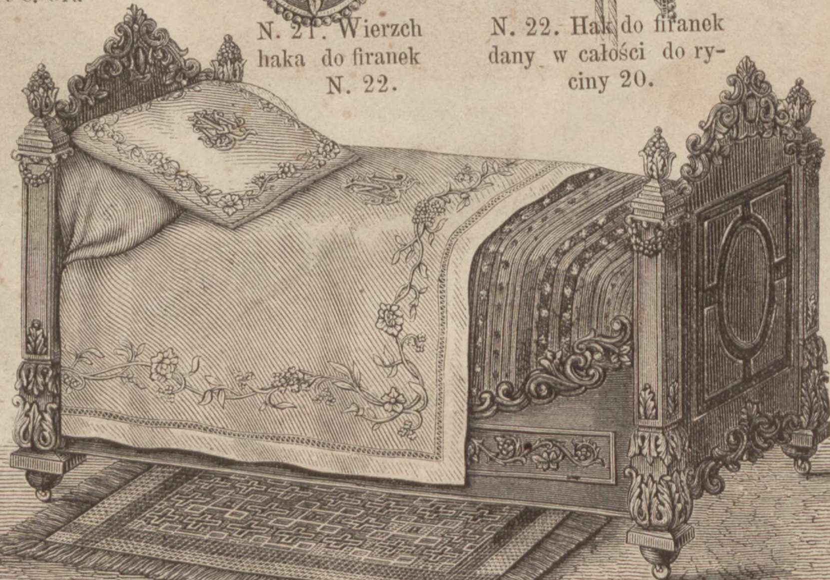

N. 11. Mała poduszeczka wycinana w zęby. Zob. zapięcie poduszki ryc. 12.

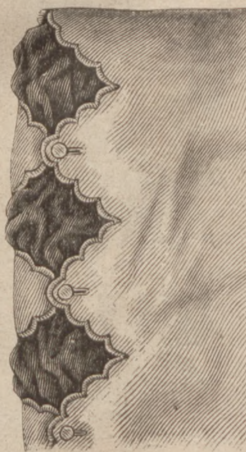
N. 5—6. Uczesanie głowy z podwójnem odwinięciem i warkoczami. Skromne uczesanie podane na rycinie 5 z przodu i na rycinie 6 z boku nadaje się dobrze do gęstych i długich własnych włosów. Dwie trzecie włosów oddziela się na przód, a jedna trzecia zostaje z tyłu na splecenie warkocza. Potem rozdziela się od przodu włosy przez środek i bierze z każdéj strony blisko trzecią część, na odwinięcie ku górze, przeczesuje na krepinie, a resztę wyżéj pozostałych włosów układa w pukiel ku twarzy, nakoniec dzieli się włosy z każdéj strony na trzy promienie i splata w warkocz. Ażeby obydwom szeroko rozsuniętym przednim warkoczom, nadać sztywność, przeciąga się przez nie długą cienką wygietą śpilkę podwójną, która zakończona jest haczykiem do zapinania; górne końce chowa się


N. 20. Firanki lub portjery do sypialnego pokoju. Patrz szlak ryc. 23 w N. 15 T. Mód.


N. 21. Wierzch haka do firanek N. 22.


N. 22. Hak do firanek dany w całości do ryciny 20.


N. 17. Posłane łóżko z materacami i wałkami pod głowę. Prześcieradło i poszewki bogato haftowane.


N. 16. Zapięcie poszewki na poduszkę lub pierzynkę. Odpowiednie do ryc. 15.

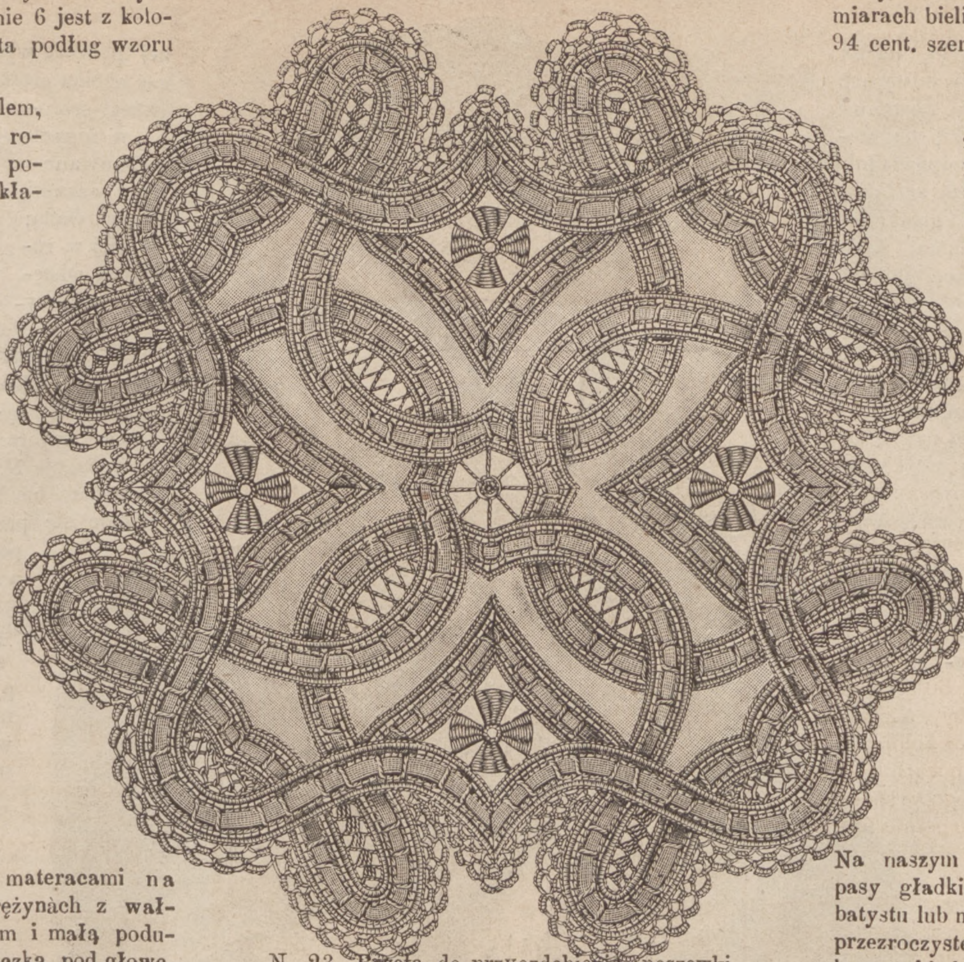
w sploty. Wszystkie trzy warkocze układa się w koło z tyłu głowy. Kokarda wpięta z boku na rycinie 6 jest z kolorowej rypsowej wstążki i kwiatów, upięta podług wzoru N. 36.

N. 7 — 8. Uczesanie z długim puklem, loczkami i przepięciem. Przednie włosy, rozebrane środkiem, są podobnie jak do poprzedniego uczesania, ułożone na podkładach. Krótkie loczki upięte w pośrodku z przodu, spadają częścią na czoło, częścią zaś spuszczają się i zasłaniają przypięcie dwóch warkoczy, rozdzielonych środkiem, długim gładkim puklem. N. 7 i 8 bardzo dokładnie przedstawiają całość uczesania i kokardę z aksamitu i rypsu przystrajającą głowę i utrzymującą warkocze.

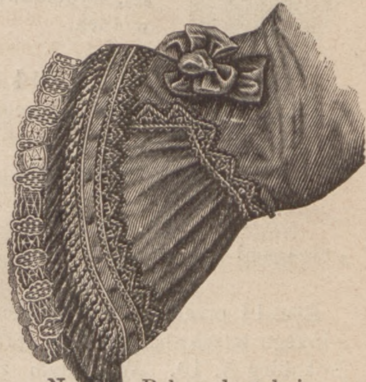
N. 9 — 19 i 11 — 15 w N. 15 Tyg. Mód. Pościel i bielizna na łóżko. Oprócz łóżek z firankami, powszechnie znanych i upowszechnionych, a więc niepotrzebujących opisu, we Francji, Anglii i w Niemczech południowych, coraz bardziej upowszechniają się łóżka z materacami na sprężynach z wałkiem i małą poduszeczką pod głowę. Takie łóżko, przykryte haftowanem prześcieradłem, przedstawia rycina 17. Prawie zbytecznem będzie przypominać, że zarówno przy dawnem urządzeniu łóżka, pikowana kołdra lub puchowa pierzynka i poduszki pod głowę, albo przy nowem wałek, poduszeczka i prześcieradło do przykrywania, jednakowym haftem lub innym garnirunkiem powinny być przyozdobione i stanowić harmonijną całość. Przy ostatnim rodzaju łóżek, do haftowanego prześcieradła do przykrycia, dodana być może lekka puchowa pierzynka w kolorowéj, jedwabnéj poszwie, na którą dodaje się powleczenie z tiulu grosbotowego, cerowanego w desenie lub rzucik. Powleczenie to odpowiadać powinno firankom u okien i portjerom, tudzież przykryciu stolika. Najrozmaitsze desenie do cerowania na tiulu, podane już były w Tygodniku, a wkrótce nowych dostarczemy wzorów, do tego rodzaju roboty, tak ogólnie cieszącéj się wzięciem. Zanim przejdziemy do szczegółowych opisów załączonych wzorów, podamy w krótkości wzmiankę o powszechnie przyjętych miarach bielizny. Do zwykłych łóżek, których rama jest 94 cent. szeroka a 187 cent. długa, prześcieradło mieć powinno 224 centymetrów długości a 144 centymetrów szerokości. Poduszki mają 76 cent. długości 66 cent. szerokości. Pierzynka 112 długości, 83 cent. szerokości. Kołdra 200 cent. długości, 114 cent. szerokości. Mała poduszeczka „Jasiem“ zwana ma zwykle 38—40 cent. w kwadrat. W miary te nie wchodzą żadne przyozdobienia ani szerokie obręby lub wyłożenia przy powłoczkach lub prześcieradłach, wymagające stosownego dodatku materjału.

N. 9. Lekka pierzynka. Poszwa składa się z pasów gładkich i ażurowo haftowanych, przez które przegląda wsypka z kolorowéj materji, lub bawełnianego atłasu. Na pasy ażurowe zarówno użyć można wstawek z koronki irlandzkiéj, frywolitek, siatki cerowanéj, szydełkowéj roboty, jak i haftu gipiurowego lub dzierganego. Na naszym wzorze pasy gładkie są z batystu lub muślinu, przezroczyste zaś z koronki hiszpańskiéj, któréj deseń i opis podaliśmy w N. 12 Tygodnika ryc. 21 — 22. Jeden pas koronki wszywa się przez środek wzdłuż zwierzchniéj połowy poszwy, dwa boczne służą do połączenia z dolną połową zupełnie gładką i jak to widzimy zachodzą na spód. Dziurki i guziki do zapinania dają się od spodu, sposobem na rycinie 19 wskazanym. Kokardy z kolorowéj wstążki zdobią rogi pierzynki. Zastosowana do niéj poduszka pod głowę, powinna mieć takąż samą wstawkę koronkową, daną tylko z jednéj na zewnątrz wychodzącéj strony, pod którą poddaje się podłożenie z kolorowéj materji, jeżeli wsypka nie jest jedwabną.

N. 10. Kołdra pikowana z prześcieradłem przypinanem na guziki. Zobaczyć rozetę pod N. 15 w numerze 15 Tygodnika. Dość grubo watowana kołdra z cienkiego kaszmiru lub jedwabnéj materji, pikuje się w deseń mniéj lub więcéj bogaty, podług wyboru. Prześcieradło do podszycia,

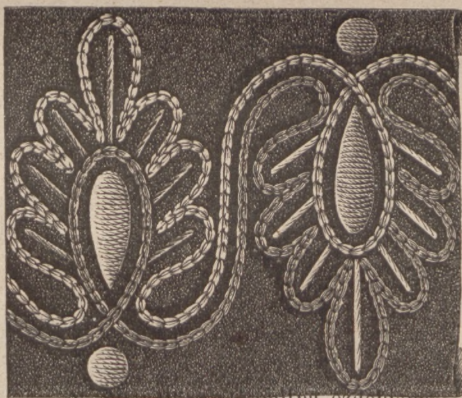

N. 23. Rozeta do przyozdobienia poszewki.


N. 24. Rękaw do sukni lub paletota z kokardą, przepiętą klamrą.


N. 25. Rękaw do sukni przybrany pasmanterją.

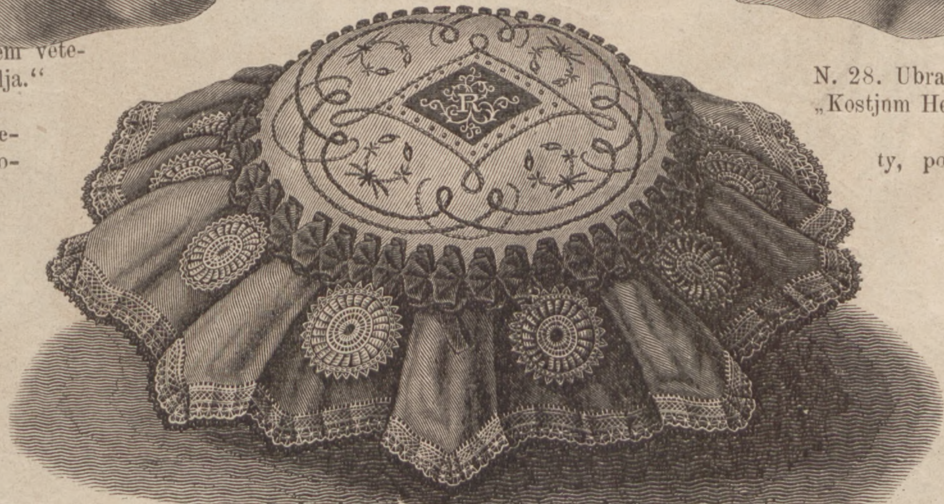

N. 26. Luźny paletot przyozdobiony wyszyciem ze sznura i aksamitnemi haftowanemi medaljonami. Plecy do N. 25 w przeszłym Tyg. Mód.


N. 27. Ubranie z długiem vetement „Kostjum Julja.“


N. 29. Plisa aksamitna ozdobiona haftem do kostjumu N. 28.


N. 28. Ubranie z tuniką i kaftanikiem „Kostjum Helena“. Patrz haft N. 29.


31. Szydełkowa gwiazda do N. 30.


N. 30. Poduszka na toaletę ozdobiona haftem i gwiazdkami. Patrz N. 31—32.


N. 32. Gwiazdka robotą frywolitową i szydełkowa do N. 30.

dopasowane jest w ten sposób, iż brzegi wkoło, na 24 centy. szerokości wywinięte są na wierzch, i w odstępach 19 centy. opatrzone w dziurki, do których odpowiednio przyszyte są przy kołdrze guziki do przypinania. Górny brzeg jak widzimy wycięty jest w okrągłe zęby odpowiednie wielkością przedziałom między dziurkami, które oszyte są mocną koroneczką lub szlaczkiem wązkim gipiurowym, przymocowanym stębnowaną pliską. W każdym zębie wszyta jest rozeta odrobiona podług ryc. 15, w numerze 15 Tygodnika, lub inną odpowiedniéj wielkości, szydełkową albo z frywolitek.

N. 11—14. Poduszeczki „Jasiem" zwane

N. 33. Okrągły wiosenny kapelusz.

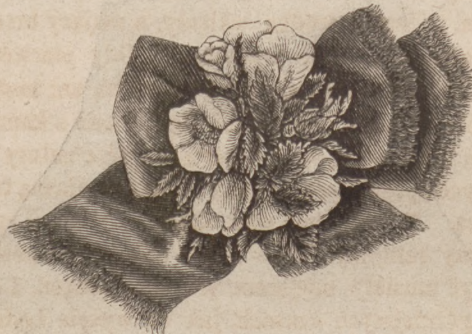
z brzegami wycinanemi w zęby.

Ryc. 11 przedstawia poszeweczkę wyciętą z brzegu w zęby odpowiednie prześcieradłu do kołdry N. 10. W każdym zębie wprawiona jest rozeta szydełkowa, do której wzory podaje N. 13 i 14.

Poszeweczka N. 12. wycięta jest w takież zęby oszyte wstawką i falbaneczką rurkowaną. Odpowiednia jéj duża poduszka powinna być z poprzecznéj strony w zębów 6, pierzynka w zębów 9 wycięta. Urządzenie dziurek i guzików, do obydwóch poszeweczek, wskazane jest na N. 12. Widzimy że w dolnéj połowie wycina się tylko dwa zęby narożne, środek zaś obcina prosto podług nitki i obejmuje listewką 2 i pół centy. szeroką, w rogach stębnowanemi paskami zamocowaną; do niéj w równych odstępach przyszywają się guziki odpowiadające dziurkom, zrobionym między zębami w połowie zwierzchniéj, jak to wskazuje N. 11. Plisowanie lub koroneczka dodaje się przy zeszyciu poszeweczki, a zęby zostawione pojedynczo przy zapinaniu, podszyć trzeba z lewéj strony listewką.



N. 35. Wykładany kołnierz i mankiety i kokarda do włosów ze wstążki i kwiatów.



N. 36. Kokarda do włosów ze wstążki i kwiatów.



N. 34. Wiosenny kapelusz pamela do wiązania.

KORESPONDENCJA.

Pani Mirosławie—wierszyki p. t. „Ze wspomnień." **O szaréj godzinie**—dla braku dobréj formy nie mogą być w piśmie naszem pomieszczone.

Panu K. R. wierszyki: Nad kolebką i Śmierć i sen drukowane być nie mogą.



N. 37. Wycięty stanik i tunika ozdobiona zębami i koronką.



N. 38. Vêtement z grenadiny lub tiulu koronkowego.